Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 3. Sierpnia 1879 r. **Tom IX.**

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 27.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego**

PRZEZ STEPY.

OPOWIADANIE KAPITANA R.

Napisał

LITWOS.

(Ciąg dalszy).

III.

Świtaniem dnia następnego przeszliśmy szczęśliwie Cedar i wjechali na równy przestronny step, ciągnący się między tą rzeką a Winnebago, skręcając nieznacznie ku południowi, aby zbliżyć się do pasma lasów zalegających dolną granicę Jowy. Lilian od rana nie śmiała mi w oczy spojrzeć. Widziałem, że była zamyślona; zdawało się, że się czegoś wstydzi lub czemś martwi; a cóż tam przecie za grzech popełniliśmy wczoraj! Nie schodziła prawie zupełnie z wozu. Ciotka Attkins i ciotka Grosvenore, myśląc, że jest chora, otoczyły ją pieszczotami i staraniem. Ja tylko jeden wiedziałem, co się to znaczy i że to ani słabość, ani udręczenie sumienia, ale to walka istoty niewinnej z tem przeczuciem, że jakaś siła nowa a nieznana porwie ją i poniesie, jako liść, gdzieś daleko. To było jasnowidzenie, że już nie ma rady i że prędzej czy później przyjdzie osłabnąć i oddać się na wolę tej siły, i zapomnieć o wszystkiem, i tylko kochać.

Dusza czysta ociąga się i boi na progu miłości, ale czując, że go przestąpi, słabnie. Lilian więc była jakoby snem zmorzona; mnie zaś, gdym wyrozumiał to wszystko, radość tamowała prawie dech w piersiach. Nie wiem, czy było poczciwe to uczucie, ale, gdym rankiem przelatywał koło jej woza, widząc ją taką złamaną jako kwiat, czułem coś takiego, co czuje drapieżny ptak, gdy pozna, że mu już gołąb nie uciecze. A przecie temu gołąbkowi nie zrobiłbym krzywdy za żadne skarby świata, bo zarazem miałem w sercu litość ogromną. Dziwna rzecz jednak: mimo najsłodszych uczuć dla Lilian, przeszedł nam dzień ten cały, jakby we wzajemnej urazie, a przynajmniej w zakłopotaniu wielkiem. Łamałem sobie głowę, w jaki sposób możnaby choć na chwilę być z Lilian sam na sam, i nie umiałem nic znaleść. Na szczęście przyszła mi w pomoc ciotka Attkins, oświadczając, że maleńka potrzebuje więcej ruchu, i że siedzenie w zadusznym wozie szkodzi jej zdrowiu. Wpadłem na myśl, że powinna jeździć konno, i kazałem Simpsonowi osiodłać dla niej konia, a choć nie było w taborze siodeł damskich, jedna z takich meksykańskich kulbak o wysokiej kuli, jakich powszechnie używają na pograniczach pustyń kobiety, służyć mogła wybornie. Zabroniłem Lilian oddalać się od karawany, tak, aby ją miała tracić z oczu. Zabłąkać się w jednostajnym stepie było dość trudno, bo ludzie których wysyłałem za zwierzyną, krążyli w znacznej odległości na wszystkie strony od taboru; zawsze więc można było kogoś z nich spotkać. Ze strony Indjan nie groziło także żadne niebezpieczeństwo, ta bowiem część stepu, aż do Winnebago, nawiedzaną bywała przez Pawnistów tylko w czasie wielkich łowów, które nie były się jeszcze rozpoczęły. Zato południowy leśny szlak obfitował w zwierzynę, nietylko trawożerną, ostrożność więc nie była zbyteczna. Prawdę rzekłszy, sądziłem, że Lilian będzie się trzymała dla bezpieczeństwa mego boku, coby nam pozwoliło być dosyć często sam na sam, zwykle bowiem wysuwałem się w czasie pochodu daleko naprzód, mając przed sobą tylko dwóch przewodników Metysów — za sobą cały tabor. Jakoż tak się stało i pierwszego zaraz dnia czułem się prawdziwie i niewypowiedzianie szczęśliwy, widząc słodką moją amazonkę, nadbiegającą lekkim galopem od strony taboru. Ruch konia rozwiązał jej włosy, zatarg zaś z sukienką, cokolwiek do konnej jazdy przykrótką, umalował jej twarz ślicznem zakłopotaniem. Zbliżywszy się, cała była jakby róża, bo wiedziała, że idzie w sidła zastawione przezemnie na to, byśmy byli tylko we dwoje, a wiedząc o tem, jednak szła, choć spłoniona, i niby niechcąca, i niby udająca, że się na niczem nie poznaje. Mnie zaś serce biło jakby żakowi, i, gdy konie nasze zrównały się, zły byłem na siebie, bo nie wiedziałem co mówić. Ale, prawdę rzekłszy, jechał między nami albo raczej leciał nad nami ktoś trzeci, jakby anioł, a była to miłość. I zaraz takie słodkie a mocne chęci poczęły iść z nas ku sobie, żem się przez siłę jakąś niewidzialną party, pochylił ku Lilian, niby dla poprawienia czegoś w grzywie jej konia, a tymczasem usta przycisnąłem do ręki jej, opartej na kuli od siodła. Szczęście jakieś nieznane i niewypowiedziane, większe i mocniejsze od wszystkich rozkoszy, jakich doznałem w życiu, rozeszło się po kościach moich. Potem tę małą dłoń przycisnąłem do serca i począłem mówić do Lilian, że gdyby mnie Bóg darował właśnie wszystkie królestwa na ziemi i wszystkie skarby na świecie, to jużbym nie oddał za nie jednego zwitka jej włosów, bo mnie zabrała z duszą i ciałem na zawsze, — „Lilian! Lilian! — mówiłem dalej — nie opuszczę cię nigdy i pójdę za tobą przez góry i pustynie, i stopy twoje będę całował, i modlił się do ciebie, tylko mnie kochaj trochę, tylko mi powiedz, że coś znaczę w twojem sercu!“ A tak mówiąc, myślałem, że mi się pierś rozpęknie; gdy zaś ona, w pomięszaniu najwyższem, poczęła powtarzać: „O Ralf! ty wiesz dobrze! ty wiesz wszystko!“ to właśnie nie wiedziałem, czy się śmiać, czy płakać, czy uciekać, czy zostać, i, jak dziś zbawienia pragnę, takem się wówczas czuł zbawiony, bo mi już niczego w świecie nie brakło.

Odtąd o ile moje zajęcia dowódcy pozwalały, byliśmy ciągle ze sobą. A zajęcia te zmniejszały się aż do Missouri codziennie. Żadnemu może taborowi nie wiodło się tak pomyślnie, jak nam przez pierwsze miesiące podróży. Ludzie i zwierzęta przywykali do ordynku i nabierali wprawy podróżniczej; mogłem więc mniej ich doglądać, a ufność jaką pokładali we mnie, utrzymywała doskonałe usposobienie w obozie. Przytem dostatek żywności i piękna pogoda wiosenna budziły wesołość i wzmacniały zdrowie. Przekonywałem się codziennie, że śmiały pomysł

mój prowadzenia karawany nie zwykłą drogą na St-Louis i Kanzas, ale na Jowę i Nebraskę, był doskonały. Tam upał dokuczał już nieznośny, i w niezdrowem międzyrzeczu Mississipi i Missouri febry i inne choroby przerzedzały szeregi wędrowców, tu klimat zimniejszy zmniejszał słabości i trudy. Wprawdzie droga ta na St-Louis była w początkowej swej części bezpieczniejsza od Indjan, ale tabor mój złożony z dwustu trzydziestu ludzi, dobrze zaopatrzonych w broń i gotowych do walki, nie potrzebował się obawiać, zwłaszcza pokoleń zamieszkujących Jowę, które, częściej spotykając białych i częściej doświadczywszy ich dłoni, nie śmiały się rzucać na liczniejsze gromady. Należało tylko strzedz się tak zwanych „stampeadów“ czyli nocnych napadów na muły i konie, porwanie bowiem zwierząt pociągowych stawia karawanę na pustyni w strasznem położeniu. Ale od tego była pilność i doświadczenie strażników, których większa część, na równi ze mną, była doskonale obznajmiona z przebiegami indyjskiemi.

Raz więc zaprowadziwszy porządek pochodowy i przyzwyczaiwszy do niego ludzi, miałem we dnie bez porównania mniej, niż z początku do roboty i mogłem więcej czasu poświęcać uczuciom, które owładnęły mem sercem. Wieczorami szedłem spać z myślą: jutro zobaczę Lilian; rankiem mówiłem sobie: dziś zobaczę Lilian, i codzień byłem szczęśliwszy, i codzień więcej rozkochany. W karawanie poczęli się ludzie zwolna na tem spostrzegać; ale nikt mi nie brał za złe, oboje bowiem z Lilian posiadaliśmy wielką życzliwość tych ludzi. Raz stary Smith, przejeżdżając koło nas zawołał: „God bless you capitain and you Lilian!“ (Boże błogosław cię, kapitanie i ciebie Lilian) — a to połączenie naszych imion uszczęśliwiło nas na dzień cały. Ciotka Grosvenore i ciotka Attkins często szeptały coś teraz do ucha Lilian, od czego dziewczyna płoniła się jak zorza, nigdy jednak nie chciała mi powiedzieć; coby to było. Henry Simpson tylko poglądał na nas jakoś ponuro, może tam i knował co w duszy, alem nie zważał na to. Rankiem codziennie o czwartej byłem już jak zwykle, na czele taboru; przedemną przewodnicy, na jakie półtora tysiąca kroków, spiewali pieśni, których wyuczyły ich matki Indjanki; za mną w takiejże odległości ciągnął tabor jakby biała wstęga na stepie — i co to za cudowna chwila następowała we dniu, gdy bywało, około szóstej rano, usłyszę nagle za sobą łupot koński i patrzę: zbliża się źrenica mojej duszy, moja dziewczynka ukochana, a powiew ranny niesie za nią włosy, które to niby rozwiązały się od ruchu, ale które umyślnie były źle związane, bo mała psotnica wiedziała, że ślicznie jej tak, że tak ją lubię, i że gdy wiatr rzuci na mnie warkoczem, to go do ust przyciskam. Jam udawał, że się na tem nie poznaję, i w tem słodkiem oczekiwaniu zaczynał się nam ranek. Wyuczyłem ją po polsku wyrazu: dzień dobry, i gdym ją słyszał wymawiającą w miłym duszy dźwięku to słowo, wydawała mi się jeszcze droższą, a wspomnienia kraju, rodziny i lat ubiegłych, i tego, co było, i tego, co przeszło, przelatywały właśnie jakoby mewy ocean, pustynię, i nieraz chciało mi się ryknąć, ale, żem się wstydził, więc tylko powiekami trzymałem łzy, co miały się wylać. Ona zaś, widząc, że mimo łez, całe się serce we mnie rozpływa, powtarzała, jakoby szpaczek wyuczony: „dzień dobry! dzień dobry! dzień dobry!“ I jakże tu nie miałem kochać nad wszystko tego mojego szpaczka? Potem uczyłem ją innych wyrazów, a gdy swoje angielskie usteczka do naszych trudnych układała dźwięków, i gdym się śmiał z mylnego wymawiania, wtedy, jak dziecko, wysuwała buzię naprzód, udając, że się gniewa i dąsa. Nie gniewaliśmy się jednak nigdy, i raz jeden tylko przeleciała między nami chmurka. Pewnego poranku udałem, że chcę zapiąć sprzączkę u jej strzemienia, a naprawdę lampart-ułan obudził się we mnie i zacząłem całować jej nóżkę, a raczej biedny podarty już w pustyni trzewiczek, którego nie oddałbym jednak za żaden tron na ziemi. Wtedy ona tuląc nóżkę do konia i powtarzając: „nie, Ralf! nie! nie!“ skoczyła w bok, i chociażem potem przepraszał i uspakajał, nie chciała zbliżyć się do mnie. Nie wróciła jednak do taboru, bojąc się, że zanadto mnie zmartwi; ja też udałem żal, sto razy większy, niżem czuł w istocie, i pogrążywszy się w milczeniu, jechałem, jakby już wszystko skończyło się dla mnie na świecie. Wiedziałem, że litość się w niej poruszy, jakoż i tak się stało, albowiem wkrótce zaniepokojona mojem milczeniem, poczęła z boków zajeżdżać i tak mi w oczy zaglądać, jak dziecko, co się chce przekonać, czy się matka jeszcze gniewa, a ja, choć chciałem zachować twarz chmurną, musiałem ją odwracać, aby się nie roześmiać głośno. Ale to jeden tylko raz tak było. Zwykle weseliśmy byli jak wewiórki stepowe, a czasem, Boże odpuść! ja dowódca całego tego taboru, stawałem się przy niej dzieckiem. Nieraz, gdyśmy jechali koło siebie spokojnie, nagle zwracałem się ku niej, mówiąc, że mam jej coś ważnego i nowego powiedzieć, a gdy nadstawiła ciekawe uszko, szeptałem w nie: „kocham!“ Więc potem ona również odszeptywała mi do ucha z uśmiechem i rumieńcem: „allso!“ co znaczyło: także, i takieśmy sobie tajemnice powierzali na pustyni, gdzie nas tylko chyba wiatr mógł usłyszeć!

I w ten sposób mknął dzień za dniem tak szybko, że mi się zdawało, iż ranek stykał się z wieczorem jak dwa ogniwa w łańcuchu. Niekiedy wypadek jaki podróży mącił takową lubą jednostajność. Pewnej niedzieli Metys Wichita schwytał na lasso antylopę z wielkiego gatunku, zwanego w stepach dick, a przy niej młode. Darowałem ją Lilian, ona zaś uczyniła mu obróżkę z dzwonkiem odjętym mułowi. Nadaliśmy kózce imię: Katty. Po tygodniu oswoiła się i jadła z rąk naszych. Bywało tak, że w czasie pochodu ja jechałem z jednej strony Lilian, a z drugiej biegła Katty, ustawicznie podnosząc do góry swoje wielkie czarne oczy i bekiem prosząc o pogłaskanie. Za Winnebago wpłynęliśmy na step równy, jak stół, przestronny, bujny, dziewiczy. Przewodnicy ginęli nam chwilami z oczu w trawach i ościeniach, nasze zaś konie brodziły, jakoby w fali. Pokazywałem Lilian ten świat dla niej nieznany zupełnie, a gdy zachwycała się jego pięknościami, czułem się dumny, że się jej to królestwo moje tak podoba. Była to wiosna, kwiecień zaledwie chylił się ku końcowi, a więc pora najbujniejszego rozrostu traw i ziół wszelakich. Co miało kwitnąć na pustyni, już zakwitnęło. Wieczorem takie upajające wonie biły od stepu, jakby z tysiąców kadzielnic; w dzień, gdy wiatr powiał i rozkołysał równię kwiecistą, to oczy aż bolały od migotania czerwieni, błękitów, żółtości i innych barw wszelakich. Ze zbitego podesłania strzelały w górę smukłe łodygi żółtych kwiatów, podobnych do naszej dziewanny; koło nich wiły się srebrne nici roślinki zwanej: „tears“, łzy, której gronka, złożone z przeźroczystych kulek, istotnie są do łez podobne. Oczy moje, przywykłe do czytania w stepie, raz po raz odkrywały znane mi zioła: to wielkie liście kalumnu, gojące rany, to białe i czerwone czułki, co tulą kielichy za zbliżeniem się zwierza lub człowieka, to wreszcie: indyjskie siekierki, których zapach snem morzy i prawie przytomność odbiera. Uczyłem wtedy Lilian czytać w tej Bożej książce, mówiąc: „Żyć ci przyjdzie, ukochana wśród lasów i stepów, poznaj je więc dość wcześnie.“ Miejscami na równinie stepowej wznosiły się, jakby oazy, kępy drzew bawełnianych lub jodeł, takie upowite w dziki winograd i liany, że ich nie znać było pod skrętami i liśćmi. Po lianach znowu wiły się bluszcze, powoje i pnąca kolczysta „wachtia“ podobna do róży dzikiej. Kwiaty kapały poprostu po bokach; wewnątrz zaś, pod tą zasłoną i za tą ścianą, mrok był jakiś tajemniczy; pod pniami drzemały w mroku wielkie kałuże wiosennej wody, której słońce nie zdołało wypić, a z wierzchołków drzew i z między kwiecistego bisioru dochodziły dziwne głosy i wołania ptaków. Gdym pierwszy raz pokazał Lilian takie drzewa i te zwieszone kaskady kwiatów, stanęła, jak wryta, powtarzając ze złożonemi rękoma: „O Ralf! czy to prawda!?“ Mówiła, że się trochę boi wejść w głębinę; pewnego jednak południa, gdy upał był wielki, a nad stepem przelatywał jakoby oddech gorący teksańskiego powiewu, weszliśmy oboje z Katty trzecią. Zatrzymawszy się nad jeziorkiem, które odbiło nasze dwa konie i nasze dwie postacie, chwilę staliśmy, milcząc. Było tam chłodno, mroczno i uroczyście jakby w gotyckim kościele, i czegoś straszno. Światło dnia dochodziło przyćmione i od liści zabarwione zielono. Ptak jakiś, schowany pod kopułą lianów, krzyczał: no! no! no! jakby nas ostrzegał, by nie iść dalej; Katty zaczęła drżeć i cisnąć się do koni, my zaś z Lilian spojrzeliśmy nagle po sobie i pierwszy raz wtedy usta nasze spotkały się, a spotkawszy, rozłączyć nie mogły. Ona piła moją duszę, a ja jej duszę piłem, i oddechu poczynało nam już brakować, a jeszcze usta były na ustach; wreszcie źrenice jej mgłą poczęły zachodzić, a ręce, które miała na moich ramionach drżały, jak we febrze, i takie jakieś ogarnęło ją zapomnienie o istności własnej, że w końcu osłabła i głowę położyła mi na piersiach. Pijaniśmy byli oboje sobą, szczęściem i uniesieniem. Nie śmiałem się poruszyć, ale, że duszę miałem przepełnioną, że kochałem sto razy więcej, niż to pomyśleć można lub wyrazić, więc tylko oczy wznosiłem ku górze, szukając gdzieby przez gęstwę liści można spojrzeć na niebo.

Ocknąwszy się z zachwytu, wydostaliśmy się znowu z pod zielonej gęstwiny na step otwarty, na którym ogarnęło nas jasne światło i ciepły powiew, a przed nami roztoczył się zwykły szeroki i wesoły widok. Kurki stepowe smyrgały naokoło w trawie. Na lekkich wyniosłościach, podziurawionych nakształt sita przez wewiórki ziemne, stały jakoby wojska tych zwierzątek, znikające za zbliżeniem się naszem pod ziemią; wprost widać było tabor i jeźdźców, uwijających się koło wozów. Zdawało mi się, żeśmy wyszli z ciemnego pokoju na świat biały, i to samo musiało zdawać się Lilian; tylko, że mnie weseliła jasność dzienna, ją zaś ten nad-

miar złotego światła i pamięć uniesień naszych pocałunków, których ślady były jeszcze widne na jej twarzyczce, przejmowały jakby trwogą i smutkiem: „Ralfie! czy ty mi tego za złe nie bierzesz?“—spytała nagle.—„Co tobie do głowy przychodzi, o moja! niech Bóg o mnie zapomni, jeśli prócz czci i miłości największej jest co innego dla ciebie w mem sercu!“ „Bo to było dla tego, że kocham bardzo!“ — mówiła — i w tem usteczka zaczęły się jej trząść, i rozpłakała się cicho, a chociażem duszę z siebie wydobywał, żeby ją uspokoić, smutna została dzień cały. (C. d. n.)

O BAJRONIZMIE W POEZJI POLSKIEJ.

STUDJUM LITERACKIE

napisał

JÓZEF TRETIAK.

(Ciąg dalszy).

Do drugigo okresu bajronicznej poezji Słowackiego należy jeden tylko poemat: Kordjan. Bajronizm tu bardziej samodzielny, niż w poprzednich utworach, już choćby dlatego, że obok tonów bajronicznych odzywa się dość silnie ton patrjotyczny, który tak potężnie brzmiał wówczas w naszej poezji, a nie był pożyczony od Bajrona. W Kordjana przytem włożył Słowacki daleko więcej siebie samego, niż w jakiegokolwiek innego swego bohatera bajronicznego. Nie mowiąc już o stosunku do Laury, w którym poeta ozdobnie przedstawił swój stosunek do Ludwiki Śniadeckiej, inne rozczarowania przez które Kordjan przechodzi, należą do skali rozczarowań, przez które mógł przechodzić i przechodził zapewne sam Słowacki; wpływ alpejskiej przyrody na Kordjana można odnaleźć również w życiu Słowackiego, którego listy pisane ze Szwajcarji w czasie tworzenia Kordjana tchną większym niż zwykle spokojem. Nawet gorączka czynu, która owłada Kordjanem na górze Montblanc, znajduje odpowiednie akkorda w tych listach („Napada mię czasami chęć czynniejszego życia, mam różne projekta itd.“ Z czerwca i lipca 1833). Wprawdzie sceny trzeciego aktu wychodzą po za zakres życiowej praktyki Słowackiego, atoli w akcie tym Kordjan przestaje być bajronistą, aby stać się czystej wody patrjotycznym zapaleńcem.

Któż jest Kordjan? Jestto przedstawiciel myślącej części ówczesnego młodego pokolenia, napojonego bajronizmem, a popchniętego nieszczęściami ojczyzny w kierunku patrjotycznym, jestto młodszy brat Konrada z IIIciej części Dziadów Mickiewicza i Wacława z poematu Garczyńskiego. Bajronizm niejako przygotowywał drogę prądowi patrjotycznemu, walka bowiem z ujarzmicielami ludów, była jednym z jego żywiołów. Ponieważ Anglicy należeli do ujarzmiających, ale nie do ujarzmianych ludów, Bajron więc nie mógł przenieść tej walki na grunt patrjotyczny. Inaczej było w Polsce: polscy poeci, chcąc w tę strunę bajrońską uderzyć, nie potrzebowali sięgać do Grecji po temata, które mieli u siebie w domu.

Kordjan zresztą i w pierwszej, bajronicznej swojej połowie, nie jest podobnym do korsarzy, mszczących niewolę Grecji. Najwięcej podobieństwa ma z Manfredem: taki sam, mniej więcej, przesyt, znudzenie, próżnia życia, ironja, tylko znacznie mniej energji i dumy. Pod tym względem jest jeszcze mniej podobny do Konrada z Dziadów, przynajmniej z słynnej improwizacji. Nie ma w nim żadnej potęgi demonicznej, nie walczy on ani z Bogiem, ani z duchami nadziemskimi, sceny bowiem z szatanem w postaci doktora w szpitalu warjatów, nie można bynajmniej uważać za walkę; Kordjan jest tam tylko dręczony przez szatana, z którego paszczęki stara się co prędzej wydostać, co zresztą należy już do aktu trzeciego. Z końcem aktu drugiego bohater Słowackiego rozstaje się zupełnie z drogami Manfreda i zrzuca z siebie suknie bajrońskie, aby się przebrać w mundur szkoły podchorążych. Świeża, czysta natura alpejska uleczyła go ze zwątpienia i przesytu, skąpany w niej Kordjan poczuł cel godny swego istnienia: poprowadzić naród drogą poświęcenia i samemu poświęcić się za ojczyznę.

Uczucia po świetnych opadały drogach —
Gorzkie pocałowania kobiety — kupiłem —
Wiara dziecinna padła na papieskich progach —
Nic — nic — nic — aż w powietrza błękicie
Skąpałem się i ożyłem,
I czuję życie!
. . . . . .
Spojrzałem ze skały szczytu,
Duch rycerza powstał z lodów —
Winkelried dzidy wrogów zebrał i w piers włożył!
Ludy! Winkelried ożył!
Polska Winkelriedem narodów!

Tak więc w Kordjanie zawrócił Słowacki z torów bajronizmu na inne tory, nie na zawsze jednak: Wrócił do bajronizmu raz jeszcze, ale trzeźwiejszy, spokojniejszy, dojrzalszy i tym razem naśladował inne formy poezji bajrońskiej: poetyczną podróż i aryostyczną powieść w duchu nowożytnym, to jest Podróże Child-Harolda i Don Juana. Owocem tego naśladownictwa była Podróż na Wschód i Beniowski.

Pomiędzy podróżami Child-Harolda a Don Juanem leży całe życie Bajrona, pomimo więc zewnętrznego podobieństwa tych dwóch poematów, które polega na stroficznej a niesłychanie swobodnej, lotnej i kapryśnej budowie, różnica w tonie musi być i była wielką. Wskazałem już tę różnicę; w Child-Haroldzie Byron patrzy na świat oczami niezadowolonego, ale tęskniącego do ideałów młodzieńca; w Don Juanie przenikliwem i szyderczem okiem człowieka, który przeszedł w bród rzekę żądz i namiętności ludzkich i wie, po czemu łokieć każdego uczucia. Prócz tego różni się Don Juan od Childe-Harolda polemiką z osobistymi nieprzyjaciółmi poety, z krytykami, wreszcie wątek powieściowy, jakkolwiek ciągle przerywany i zalewany powodzią ironicznych wycieczek na różne strony, jest wyrazistszym w Don Juanie.

Słowacki swoją Podróż na Wschód, która treścią swoją odpowiada Podróży Chid-Harolda i Beniowskiego, któremu za wzór posłużył Don Juan, pisał prawie jednocześnie, a przynajmniej bardzo prędko jedno po drugiem, nie mogła więc być taka różnica w usposobieniu naszego poety przy pisaniu dwóch tych poematów, jak w usposobieniu Bajrona. I owszem, co się tyczy melancholijnego powiewu, który nas tak w Child-Haroldzie zachwyca, to daleko mniej go w Podróży na Wschód niż w Beniowskim, gdzie ironja i melancholja, jak dwie sylfidy-tanecznice podają sobie ciągle na przemian ręce. W ogóle w Podróży na Wschod, której tworzenie jak wiemy z listów do matki, szło dość ciężko, fantazja poety krępowaną była gruntem realnym, który studził ją swoją prozaicznością, nie dawał jej tak bujać swobodnie, jak w Beniowskim i nie nastręczał tyle sposobności do lirycznych wycieczek. Wyjątek w tym względzie stanowi tylko ustęp podróży, drukowany osobno pod tytułem „Grób Agamemnona“, a odznaczający się wysokim nastrojem lirycznym.

W Beniowskim wziął Słowacki z Don Juana zewnętrzną formę, pożyczoną przez Bajrona od Aryosta, formę oktawy, w której był niezrównanym wirtuozem; wziął kapryśną budowę, w której awanturniczy wątek powieści upleciony jest w koło najbujniejszym liryzmem różnego rodzaju; wziął nareszcie bajroniczną ironję najeżoną tysiącami iskrzących się kolców. Reszta była własnością jego uczucia, a przedewszystkiem fantazji, która w tym poemacie jak rumak stepowy na czystem polu, znalazła się dopiero w swoim żywiole. To, co twórca „Słowa o pułku Igora“ mówi o wieszczym Bojanie, że „gdy chciał komu pieśń tworzyć, to rozganiał się myślą jak słowik po drzewie, jak wilk szary po ziemi, jak siwy orzeł pod obłokami“, da się w całej pełni zastosować do Słowackiego w tym pomeacie. Lotność, zwinność, melodyjność, gracja jego poezji nigdzie nie jest tak godną podziwu jak w tym poemacie.

Co się tyczy wątku powieściowego w Beniowskim, to jakkolwiek jest on równie awanturniczym, jak w Don Juanie, różni się jednak stanowczo od ostatatniego tem, że nie służy bynajmniej do zdarcia maski z fałszów sztucznego życia ludzkiego, ale jest tylko niewinną, złoconą, kolorową bajeczką, z której poeta, jak z czarodziejskiego pałacu, wypada co chwila, aby sypnąć gradem złocistych strzał na swoich nieprzyjaciół, lub zanucić „głuchym słuchaczom“ hymn pełen melancholji. Dlatego Beniowski nie ma tej głębokości, co Don Juan, ale też za to wolny od cynizmu, który się sączy ze strof Don Juana, a który jest jedynym tonem bajronicznym, nie powtórzonym na arfie Słowackiego. W niektórych wprawdzie, rzadkich strofach objawia się pewna chęć silenia się na cynizm, ale w ustach naszego poety wszystko poetycznieje, szlachetnieje i lotna fantazja jego, zamiast spaść w czarną kałużę, ku której zdawała się zmierzać, szybko zmienia kierunek, aby wzlecieć w błękity.

Podróż na Wschód i Beniowski są utworami niedokończonymi, podobnie jak Podróże Child-Harolda i Don Juan. Nie wypłynęło to z naśladownictwa, ale z samego rodzaju utworów, których kapryśna budowa nie dopomina się o zamkniętą całość.

Tak więc Słowacki w początkach swojej karjery bajronicznej był ślepym i pomimo całego bogactwa swego języka, niefortunnym naśladowcą Bajrona; w drugim okresie trącony nowymi prądami, wydobywa się z jednostronności bajronicznej, staje się samodzielniejszym i bajronizm splata, a raczej roztapia w patrjotyzmie; nareszcie w Beniowskim pożycza już od Bajrona prawie tylko samą formę poetyczną, aby ją własną zapełnić treścią i własnem ożywić tchnieniem, a jeżeli i w tym poemacie bajronizuje, to jest to już bajronizm zasiany i zebrany na niwie własnych wrażeń, doświadczeń, spostrzeżeń, na niwie własnego życia. (C. d. n.)

---

*

POCHODZENIE
Wołochów czyli Rumunów.

przez
ALEKSANDRA MORGENBESSERA.

Jeżeli pisarze rumuńscy uważają to za obowiązek patrjotyzmu, aby bronić teorji bezpośredniego pochodzenia narodu Wołochów od Rzymian, to z ich uczuciem patrjotycznem spierać się nie będziemy, ograniczając się na zwalczeniu pozorów — dowodami na historji opartemi. — Jeżeli zaś obcy pisarze, miasto krytycznego rozbioru tych wywodów patrjotycznych, zadawalniają się powtarzaniem takowych i stawianiem ich jako pewniki historyczne, to zarzucić im musimy, zapoznanie wzniosłych obowiązków pisarza dziejów.

Do tych ostatnich należy autor „Żydów i kahałów", który w swojem dziełku „Rumunja" Lwów 1874 przyjął hipotezę bezpośredniego pochodzenia Wołochów od Rzymian z dzieł rumuńskich patrjotów zaczerpniętą, więc zarzucamy mu pobieżność i jednostronność w traktowaniu poważnych przedmiotów, a to tem więcej, ponieważ na str. 2. upewnia czytelnika, że „z zimną bezstronnością wyszukał *wszystko* co się tyczy dziejów narodu rumuńskiego", gdy przeciwnie widoczne jest, że czerpał tylko z dzieł rumuńskich patrjotów, których twierdzenia przez krytykę, za baśnie uznane zostały. Widoczne jest, że nieznane mu nawet dzieło Lelewela „Narody na ziemiach słowiańskich" tudzież Röslera „Rumänische Studien", Leipzig 1871, a przecież są to dzieła, które o pochodzeniu Wołochów czyli Rumunów obszernie traktują i przeciwną powyższej teorję niezbitemi dowodami uzbrojoną stawiają.

Co sądzić zresztą o zimnej bezstronności autora, który wbrew świadectwom historji twierdzi (str. 6), że Wołoszczyzna z powodu ciągłych *napadów* ze strony *Polaków* Turcji się poddała! Byłabyto rzeczywiście zimna bezstronność, gdyby niemiłą nawet dla Polaków *prawdę* napisał, ale pisać niemiłe Polakom niebywałe rzeczy, nie jest bezstronnością ale co najmniej nieoględnością.

Czy i to jest zimna bezstronność, gdy autor na str. 39 twierdzi, że wojewoda Multan Michał waleczny pobił *Polaków*, gdy przeciwnie wiadomo jest, że Michał na własnej ziemi przez hetmana Zamojskiego pod Plojeszti na głowę pobity został.

Nie życząc, aby podobne błędy uzasadniały się w piśmiennictwie polskiem, przystępujemy oparci głównie na badaniach wyżej wymienionych pisarzów do treściwego przedstawienia wyników tych badań, polskiej publiczności, którą tem więcej obchodzić winny, ile że dzieje województwa wołoskiego czyli mołdawskiego — Polsce hołdującego — stanowią również część dziejów polskich.

Mówiliśmy „wołoskiego czyli mołdawskiego" nie zaś *Multańskiego*, powtarzamy bowiem tu, co już kilkakrotnie w innych rozprawach mówiliśmy, że *Mołdawia* a *Multany* nie są jednym i tym samym krajem, ale dwa kraje, dopiero w roku 1859 pod nazwą *Rumunja* połączone. Z tych krajów tylko jedna *Mołdawja* czyli Wołoszczyzna (bez dodatku) Polsce hołdowała, dalsza Wołoszczyzna zaś, czyli Ungro-Vallachia czyli Transalpina lub *Multany*, ku Polsce nigdy w stosunku lennym nie zostawała.

Starsi pisarze polscy skrupulatnie tych różnic przestrzegali, dopiero nowsi pisarze mięszają obie nazwy i ten sam kraj raz *Mołdawją* drugi raz *Multanami* mianują, czem do dziejów wołosko-polskich takie bałamuctwo wprowadzili, że też dzieje odtąt stały się niezrozumiałemi, bo często opowiadają coś o Mołdawji co się Multan tyczy i odwrotnie. Wyjątek tu robi p. Emil Kałużniacki, który w swem dziele: „Dokumenta mołdawskie i multańskie" właśnie na różnicę tych dwóch ziem szczególny nacisk kładzie i takową przekonywająco udowadnia.

Nie zapuszczając się w dowody, do obecnej rozprawy nie należące, poprzestajemy na twierdzeniu, że u kronikarzów polskich pod nazwą Wołoszczyzna bez dodatku tylko *Mołdawja* się rozumie, to jest kraj do Rusi halickiej i Podola przypierający, w którym dawniej była stolicą Suczawa, później Jassy. Dalszą Wołoszczyznę zwą kronikarze *Multany*; inni zwą takową *Transalpina* lub Ungro-Vallachia Stolicą było tu naprzód miasto Argessu, później Tyrgowiszte, nakoniec Bukareszt.

Ale wróćmy do ludu, który w obu księstwach jest jeden i ten sam, to jest *Wołochy*, których w nowszych czasach dla woli siedmiogrodzkich patrjotów *Rumunami* przezwano.

I.

Pisarze rumuńscy utrzymują, że naród ich w prostej linji pochodzi od Rzymian, przez cesarza Trajana w Dacji osadzonych, że ziemię, którą obecnie zajmują, zamieszkiwali zawsze i bez przerwy od czasów Trajana, aż do dziś dnia.

Ale są to twierdzenia, które krytyki historycznej nie wytrzymają, gdyż przeciwnie udowodnić się da, że od 3 do 13 stólecia Rumunów czyli Wołochów w ziemiach na północ Dunaju położonych — ani pod tą, ani pod jaką bądź inną nazwą nie było, i że dopiero od wieku 13. po Chr. tamże powoli pojawiać się zaczęli.

Że cesarz Trajan po pokonaniu Dekebala, króla Daków, w r. 106 po Chr. na miejsce narodu Daków, który ze swej ojczyzny na północ do ziem dziś polskich się wyniósł, sprowadził kolonistów ze wszystkich prowincji rzymskich pozbieranych, jest historyczną prawdą. Co to byli za ludzie ci koloniści? dziś udowodnić się już nie da, przyjmujemy ich za Rzymian, choć słusznie powątpiewać można, aby wielu ich było prawdziwych Rzymian z Italji, trudno bowiem przypuścić, aby wielu się zgodziło porzucić pogodne niebo Italji i spokojne tam życie, i puścić się na kolonizację kraju dzikiego, zimnego, po za krańcem owoczesnej cywilizacji położonego, zewsząd ludami barbarzyńskiemi otoczonego. Po największej części byli to niezawodnie osadnicy z ziem od Rzymian podbitych do różnych szczepów należący, mniej lub więcej urzędowym językiem łacińskim spojeni. Że w przeciągu 150 lat z tej zbieraniny nadłacinialej — mogła się wytworzyć ludność jednolita — jest prawdopodobne, zwłaszcza, gdy się zważy, że kolonista od pnia macierzystego oderwany — pod panowaniem obcej a silnej cywilizacji, łatwo się daje przenarodowić; to też przeczyć nie będziemy, że Dacja Trajana, przynajmniej przy końcu istnienia tej rzymskiej prowincji — miała ludność po łacinie mówiącą.

Gdyby więc udowodnić się dało, że ta ludność, w granicach dawnej Dacji pozostała, to przyznalibyśmy słuszność twierdzeniu, że dzisiejsi Włosi są prawnukami Rzymian — czyli Rzymianami.

Lecz tego dowodu nie ma, przeciwnie historja uczy, że cesarz rzymski Aureljan w roku 270 wszystkich Rzymian, a mianowicie wojsko, mieszkańców z miast i osad wiejskich z Dacji wyprowadził i w Mezji na południu Dunaju osadził, która odtąd *Dacją* nazwana została.

Opuszczenie to Dacji od Rzymian było *zupełne*, jak to ze słów historyków rzymskich i greckich: Flawiusza Vopisca, Sexta Rufa, Eutropiusza, Suidasa, G. Symella, Jana Malalasa i Jordana u Röslera na str. 67 przytoczonych się okazuje.

Zarzucają przeciw temu nowsi historycy rumuńscy, że wyjście całkowitej ludności jest niemożliwe, że w Mezji dla całej ludności Dacji miejsca nie było, że przeto znaczna część ludności rzymskiej w Dacji pozostać musiała, która w przeciągu kilkunastu wieków tak znacznie się pomnożyła.

Wszelako zważmy, że Aureljan, nie dla jakiejś igraszki postanowił Dację wypróżnić, ale dla niebezpieczeństwa zupełnej zagłady, przekonał się bowiem, że tej prowincji, do której już od czasów cesarza Galiena barbarzyńcy, a mianowicie Goci bez przestanku się wdzierali, dłużej utrzymać, i kolonistów rzymskich od zupełnego wytępienia uchronić nie może. Tu nie było czasu się namyślać, tylko korzystać ze sposobności, aby pod osłoną rzymskich legjonów co prędzej z kraju się wynosić przed wrogami srogimi, tuż u granic państwa a po części już wewnątrz granic tegoż na życie i mienie Rzyman czyhającymi. Wiadomo było, że Got życia ludzi wcale nie oszczędza — kto tu mógł pozostać? chyba starcy i kaleki, którzy dla życia zobojętnieli narażali się na wszystko. Ale liczba tych pozostałych mogła być tylko nieznaczna i bezpłodna, a gdyby i pozostawiła jakie potomstwo, to zbyt nieliczne, które niezawodnie w panujące tu po sobie ludności wsiąknęło, nie pozostawiwszy śladu.

Błędne jest twierdzenie, jakoby Mezja nie mogła pomieścić tyle obcej ludności, bo historycy mówią wyraźnie, że Mezja poprzód przez Gotów wyniszczona była, a zresztą dość była obszerna aby prócz swojej, i całej Dacji ludność pomieścić, która ostatnia w najlepszym razie, kilka dziesiąt tysięcy liczyć mogła. I dziś te kraje, które zapewne lepiej są zaludnione jak podówczas, dwa i trzy razy taką ludność jaka w nich jest, pomieścić, i wyżywić mogą.

Nie ma więc powodu wątpić, że cała Dacja, to jest Kraina między Dunajem, Cissą, Czarnem morzem i Dniestrem położona, w połowie 3go stólecia przez Rzymian całkowicie opuszczoną została. (C. d. n.)

ZESTAWIENIE NOWYCH METOD
OŚWIETLENIA ELEKTRYCZNEGO.

Ze wszystkich przedmiotów, któreśmy poruszali w Kronikach naukowych, najczęściej się powtarzającym, był opis postępów w dziedzinie oświetlenia elektrycznego. I nic w tem dziwnego, bo w ciągu ostatnich lat paru, kwestja ta była na porządku dziennym Tłumy wynalazców rzuciły się na jej zbadanie, powodowane widokami niezmiernych korzyści, któreby dobre i praktyczne rozwiązanie przyniosło.

Lecz te wszystkie wiadomości podawane były w *Tygodniu* nieraz w znacznych odstępach czasu, tak, że czytelnik z trudnością mógł sobie

zrobić dokładny obraz całości i dlatego podajemy dzisiaj zestawienie w ogólnym zarysie wszystkich główniejszych metod oświetlenia.

Nie będziemy się zatrzymywali przy machinach wytwarzających elektryczność, a zajmiemy się wprost ogniskami światła i przyrządami służącemi do utrzymania węgli, między któremi powstaje łuk woltaiczny, w odpowiedniej odległości. Wiadomo, że przy paleniu węgle się zużywają, więc trzeba je albo zbliżać ruchem jednostajnym, albo tak ustawić, żeby odległość między końcami pozostawała zawsze ta sama, albo umieścić w takim gazie (lub próżni) żeby węgle się nie zużywały.

Zaczniemy od jednego z najdawniejszych i najpraktyczniejszych przyrządów od:

Lampy elektrycznej Duboscqa, która ze wszystkich najlepiej jest znaną, bo znajduje się we wszystkich prawie gabinetach fizycznych.

W lampie tej węgle są umieszczone pionowo jeden nad drugim, i tak, że dolny koniec górnego węgla dotyka do górnego końca dolnego. Oba węgle trzymane sa w mosiężnych klamrach poruszających się w górę i na dół razem z węglami. W przyrządzie znajduje się mechanizm zegarowy, który ciągle porusza dolny węgiel do góry a górny na dół w miarę spalenia ich. Byłby taki ruch zupełnie wystarczającym, gdyby w sile prądu elektrycznego nie zachodziły żadne zmiany i gdyby węgiel był z zupełnie jednostajnej masy. Lecz nieraz, węgiel nadto prędko się spali, między końcami powstaje nadto wielka przestrzeń i światło gaśnie. Natenczas jest przy aparacie regulator elektro-magnetyczny, który styka końce, tak, że łuk woltaiczny znów powstaje i oddala dalej końce na potrzebną odległość.

Regulator Duboscqa, stosownie do wielkości, kosztuje kilkaset franków i jest jednym z najdroższych aparatów tego rodzaju. Fukcjonuje zwykle wybornie i aparat należący do tutejszej szkoły politechnicznej, z którym miałem do czynienia, nigdy mię nie zawiódł.

W jednym obwodzie elektrycznym można umieścić jedną tylko lampę Duboscqa.

Lampa Serrina. Po lampie Duboscqa, której pomysł wyszedł od Foucaulta, pojawił się cały szereg regulatorów; największego uznania i upowszechnienia doczekała się lampa Serrina z powodu prostoty swej budowy. W tym aparacie węgiel górny umieszczony jest w massywnej osadzie, która swym ciężarem wprawia w ruch ku górze węgiel dolny i sunie go do zetknięcia z końcem górnej laski węgla. Przedstawmy sobie takie położenie, że oba końce są zetknięte. Puszczamy przez lampę prąd elektryczny, który w swej drodze przechodzi w drutach izolowanych obwiniętych naokoło kawałka miękkiego żelaza i robi zeń silny elektro-magnes. Dolny węgiel pchany jest ku górze sprężyną, lecz gdy działa elektro-magnes, wtedy siła sprężyny jest przezwyciężoną i laska dolna węgla usuwa się nieco na dół, tak że powstaje łuk elektryczny. Skoro węgle nadto się spalą, tak że prąd słabnąć zacznie i zbliża się jego przerwa, wtedy słabnie i elektro-magnes, więc sprężyna podsuwa dolny węgiel do góry. Jeśli posunie za nadto, to znów elektro-magnes staje się silniejszym i znów ciągnie na dół, tak że ten dolny kawałek odbywa ciągle ruch oscylacyjny regulujący wszelkie niedokładności.

Regulator Serrina należy do tańszych nieco przyrządów i jest on powszechnie prawie używanym w latarniach morskich, fabrykach, dworcach kolei żelaznych itp.

Lampa Archereau jest bardzo podobną do lampy Serrina i różni się tylko urządzeniem mechanizmu regulującego bieg dolnej laski węgla. Regulator ten opiera się na znanem doświadczenia, polegającem na tem, że jeżeli weźmiemy zwinięty spiralnie drut i będziemy przezeń przepuszczali prąd elektryczny, to laska żelazna, końcem swoim wsunięta częściowo wewnątrz zwoju spiralnego, zostanie wciągniętą do środka.

Otóż w lampie Archereau, dolny węgiel jest przymocowanym do laski żelaznej, wchodzącej swym końcem wewnątrz spiralnie zwiniętego drutu, przez który bieży prąd do lampy. Gdy jeszcze prądu nie ma, wtedy ciężarek z boku umieszczony, podnosi dolny węgiel do góry i przyciska go do górnego. Gdy się zaś lampę włączy do obwodu, wtedy prąd przebiega przez spiralne zwoje, laska żelazna z dolnym węglem zostaje odsuniętą na dół i powstaje łuk woltaiczny. Skoro odsunięcie stanie się zbyt wielkiem, prąd słabnie i ciężarek podnosi laskę do góry. Wtedy prąd się wzmacnia i otrzymujemy znowu bieg odwrotny, tak że dolny węgiel odbywa ciągłe ruchy w górę i na dół regulujące odległość węgli stosownie do siły prądu.

W lampie tej nadzwyczaj ważną rolę gra uregulowanie ciężarku podnoszącego dolny węgiel, stosownie do siły prądu. I ta lampa, szczególniej we Francji, jest dość często używaną.

Regulator Browninga jest może najprostszym w całym szeregu powyżej przytoczonych. Dolny węgiel jest stałym, a górny opada na dół ciężarem własnej osady metalowej, tak że w chwili gdy prąd nie przebiega, oba węgle opierają się jeden na drugim. Nad kawałkiem żelaza przymocowanym do górnej osady znajduje się elektro-magnes, który w chwili gdy prąd idzie do lampy, podnosi górną osadę razem z węglem i powstaje prąd elektryczny. Jak tylko węgle nadto się spalą, wtedy prąd słabnie i górny węgiel spada na dół, tymczasem prąd się znowu wzmaga i podnosi napowrót górny węgiel do wymaganej wysokości.

Regulator ten nie może współzawodniczyć co do dokładności z przytoczonemi wyżej aparatami, ma zaś natomiast zaletę wielkiej prostoty a więc i taniości, i dobrze może być zastosowanym do zwykłych doświadczeń i rzucania obrazów z latarni magicznej na ścianę.

Lampa Rapiewa opiera się co do swej zasady na oryginalnym pomyśle utrzymania końców węgli zawsze w jednakowej odległości. Zamiast dwóch lasek węgla, Rapiew używa czterech, z których każde dwie opierają się na sobie ukośnie w kształcie litery V. Dwie takie pary zestawione są ku sobie końcami w kształcie dwóch liter V umieszczonych w następujący sposób:

a

><

Każda z lasek ciągle posuwaną jest ciężarkami ku środkowi *a* tak, że w miarę zużycia się węgli posuwają się one naprzód i ciągle są oparte na sobie, tak że odległość między dwiema parami pozostaje zawsze ta sama.

Lampa Régniera. Różni się od poprzedzającej głównie kształtem węgli, które mają postać tarcz okrągłych zamiast lasek. Obie tarcze nachylone ku sobie i stykają się w jednym punkcie obwodu. Skoro tylko prąd elektryczny przebiegać zaczyna, tarcze odsuwają się od siebie, za pomocą mechanizmu takiego jak w wyżej opisanych lampach, i powstaje łuk woltaiczny. Jednocześnie tarcze zaczynają się powoli obracać około swych środków, tak, że w miarę zużycie między coraz świeże częściami przebiega prąd i wytwarza światło.

Lampa Régniera ma tę zaletę, iż węgle wystarczają na długi czas. Przy próbach w czasie ostatniej powszechnej wystawy paliła się taka lampa przez dwadzieścia cztery godzin. Należy ona do szeregu regulatorów droższych.

Regulator Wallace-Farmer. Węgle mają kształt dwóch płyt, dość dużych rozmiarów, stojących pionowo nad sobą. Dolny węgiel jest stały, górny może być podnoszony przy pomocy elektromagnesu w chwili gdy prąd idzie do lampy. Wtedy w miejscu gdzie są najbliższe punkty, powstaje łuk woltaiczny. Tworzy się on w jednem tylko miejscu, a nie na całej przestrzeni między płytami. Gdy zaś węgiel w tem miejscu zużyje się, łuk przesuwa się sam dalej do miejsca świeżego i tak wędruje z jednego końca do drugiego. Gdy na całej powierzchni węgiel się spali, lampa gaśnie, albo też węgiel górny potrzebuje być zniżonym ręcznie, albo też przy pomocy osobnego automatycznego regulatora.

Świece Jabłoczkowa. Wielkim postępem w dziedzinie światła elektrycznego, jest pomysł Jabłoczkowa, usuwający wszelkie regulatory. Wspominaliśmy o nim tylokrotnie, że nie potrzebujemy tutaj wdawać się w żadne bliższe opisy. Przypominamy tylko, że wszelki mechanizm z regulatorów został usunięty, bo węgle stoją równolegle do siebie, rozdzielone izolującą warstwą knolinu lub gipsu.

Lamp takich można ustawić w jeden obwód kilka lub nawet kilkanaście.

Wszystkie dotychczas opisane lampy wytwarzają światło w ten sposób, iż między końcami węgli powstaje łuk woltaiczny i te końce są podczas funkcjonowania lampy oddalone nieco od siebie. W ostatnich czasach zaczęto szczegółowiej zajmować się inną metodą światła, powstającego przez *rozżarzenie*, bez pomocy łuku woltaicznego.

Lampa Régniera (tego samego, któregośmy już raz wyżej wspominali) należy do najpierwszych, które w ostatnich paru latach na siebie uwagę zwróciły. Zasada jej jest następująca. Na węglowym krążku opiera się cienka laseczka węgla, przyciskana ciągle do węgla, ciężarem własnej osady. Prąd od jednego bieguna idzie do krążka, a z drugiego wchodzi do laseczki węgla, kilka milimetrów po nad punktem jej zetknięcia się z krążkiem. Część laseczki między krążkiem węgla a górnym kontaktem rozżarza się do białości i daje ładne i spokojne światło. Ponieważ dolny krążek umieszczony jest na łatwo obracającej się osi, a górny węgiel ciśnie go ekscentrycznie, więc w miarę spalania się laski węgla, krążek się obraca i podstawia coraz nowe punkty styczności.

W jeden obwód elektryczny można wstawić kilka lamp Régniera. Do zapalenia jednej małej lampki, dającej światło 7 płomieni gazowych, potrzeba tylko sześciu elementów Bunsena. Jest jednym z najwygodniejszych przyrządów tego rodzaju, do użytku laboratoryjnego.

Lampa Werdermanna niczem się prawie nie różni od lampy Régniera i z tego powodu między obu wynalazcami powstały kłótnie. Régnier zarzuca plagiat swpółzawodnikowi i, o ile się zdaje, ma zupełną słuszność. U Werdermana, laseczka węgla sunie się z dołu do góry i opie-

ra się o dość duży kawał węgla stale umocowanego. Część laseczki rozżarza się do białości, a w miarę jej spalania się, ciężarki podsuwają ją do góry, tak że zetknięcie się między obu węglami bez przerwy istnieje.

Lampa Sawyer-Man doczekała się wielkiego rozgłosu w Ameryce, chociaż dotąd jej w Europie jeszcze nie oglądano. Z daleka wygląda ona bardzo ładnie — niewiadomym jednak jeszcze jest rezultat praktyczny. W tej lampie kawałek mały preparowanego węgla, mający kilka milimetrów długości, jest przedmiotem, który świeci przez rozżarzenie. Lecz gdyby się to działo w powietrzu, to ten mały kawałek prędko by się spalił. Ażeby tego uniknąć pp. Sawyer i Man umieszczają go wewnątrz szklanego cylindru, w którym zamiast powietrza znajduje się azot. Spalenie węgla nie następuje wtedy, bo nie może tworzyć się żadne połączenie z tlenem, które jest właśnie istotą spalania się. Pomysł ten nie jest nowy i używano go dawniej, lecz w stosunku do światła elektrycznego przez rozżarzenie, został on po raz pierwszy praktycznie zastosowanym. Lecz i tu było inne niebezpieczeństwo zniszczenia węgla, a mianowicie w chwili gdy silny prąd do lampy wpuszczano, węgiel rozpryskiwał się na kawałki. Aby temu zapobiedz pp. Sawyer i Man urządzili przyrząd do zapalania, który powoli i umiarkowanie zwiększa siłę prądu do żądanej wysokości i łagodnie, bez gwałtu rozżarza kawałek węgla w kloszu.

Wynalazcy twierdzą, iż lamp takich w jeden obwód elektryczny można wstawić kilkadziesiąt.

Lampa Edisona narobiła rok temu bardzo wiele hałasu, lecz nareszcie przekonano się, że i ona ma nie wiele praktycznej wartości. Po Edisonie spodziewano się czegoś więcej, to też gdy tylko pierwsza wiadomość o tem, że Edison znalazł nowy sposób oświetlenia, przyszła do Europy, w postaci krótkiej wzmianki dziennikarskiej, wywołało to tak wielki popłoch na giełdach, że akcje towarzystw gazowych pospadały o kolosalne sumy. Edison zrobił już sobie takie imię, iż publiczność sądzi, że dla niego nic nie ma niemożliwego. Lecz w tym wypadku okazało się, iż góra mysz urodziła. Lampa Edisona jest ładnym fizycznym aparacikiem i niczem więcej. Opiera się na dawno znanem doświadczeniu. Jeśli przez cienki drut platynowy, nie wielkiej długości, przepuszczać będziemy prąd elektryczny, to drut ten rozżarzy się do białości i wydawać będzie jasne i spokojne, białe światło. Próbowano już dawniej na tej zasadzie zbudować lampę, lecz główną przeszkodą było to, że ponieważ prąd ze źródła nie dochodzi ciągle w jednostajnej sile, więc nieraz, przy wzmocnionej nieco sile, drucik platynowy topił się i następowała przerwa. Edison usunął tę niedogodność, za pomocą osobnego przyrządu, który w każdej lampie regulował siłę przypływu prądu, utrzymując ją na jednej wysokości.

Oprócz tego Edison zamiast czystej platyny, używa mięszaniny tego metalu z „irydium“. Powstaje z tego spiż, daleko trudniej topliwy i odpowiedniejszy do lamp elektrycznych.

Lamp Edisona można ustawić w jeden obwód bardzo wiele, lecz przy większym podziale następują tak znaczne straty siły prądu, że oświetlenie na większą skalę nie opłaca się wcale.

System oświetlenia pp. Molera i Cebrian, opiera się na zupełnie nowej zasadzie. Źródło światła jest zwykłym regulatorem o wielkiej sile. Promienie, które ten regulator daje, skupiają się za pomocą soczewek i wysyłają się naprzód w żądanym kierunku w stanie równoległym. W ten sposób, bieży od głównego ogniska pasmo świetlne o wielkiej sile. Po drodze z tego pasma pryzmaty zabierają pewną część i kierują ją wewnątrz budynku do oświetlania pokoi i tam rozpraszają je za pomocą nowych soczewek na wszystkie strony.

Jestto najnowszy ze wszystkich znanych systemów; o ile on jest praktycznym, okażą dopiero bliższe próby. Dziś jest on dopiero w stanie projektu. Bliższe szczegóły o tem podamy w „Kronice naukowej“.

Bruno Abakanowicz.

LEONARD CHODŹKO

I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WĘRNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

WĘRNICKIEGO.

XII.

Od swego założenia komitet narodowy stanął całkiem niezależnie od centralnego. Centralny rozrządzał sam swymi funduszami jak dawniej, a uchwały wydawał na swych zebraniach. Ob. *Marchais Corcelles, Cassin* stanowiły rozdawniczą komisję. Narodowy zaś komitet pomagał tylko rozdawaniu zapomóg przez swą znajomość osób i stosunków. Między dwoma komitetami zawsze pośredniczył L. Chodźko, członek obydwóch. Później centralny kom. zawezwał ku pomocy Wodzińskiego, podskarbiego. W razie niepewności czy jaka osoba warta zapomogi, centralny komitet odwoływał się do narodowego i ten dawał objaśnienia należyte. Zapomogi komitetowe rozdawały się na innej zasadzie, niż zapomogi rządowe. Rząd dawał wedle stopnia i stanowiska zajmowanego przed powstaniem. Komitet cent. zaś przyjął każdemu z potrzebujących dawać różne zapomogi i miał „wzgląd na chorobę i pożyteczne dla zajęcia ziomków naszych wydatki; udzielał nawet środków i dla wojskowych jeszcze opodal od Francji będących.“ Pierwszy zatem franko-polski komitet podniósł myśl, że w obec współczucia ludów nie ma różnicy stopni tytułów, ani przekonań politycznych, ani wyznań; lecz są tylko potrzebujący wsparcia i nie. Wodziński zajmywał się tem rozdawnictwem z wiedzą Lafayetta i komisji wspomnianej.

Komitet narodowy musiał pomagać swym ziomkom, których potrzeby nie były znane Francuzom. A potrzeby te nie tylko odnosiły się do dostarczania kawałka chleba, boż i moralne i umysłowe wymogi musiały być zaspokojone.

Nadto tłumny przyjazd emigrantów i niechęć rządu francuskiego od razu postawiły wychodźców w najprzykrzejszym stosunku ze społeczeństwem, w które oni mimowolnie wchodzili. Usuwać więc niedogodności, i poczucie litości nad nędzą zmienić w rodzaj prawdziwego zrozumienia i oddania się sprawie polskiej gościnnej nam Francji, było zadaniem komitetu narodowego. Od sejmu czyli ciała prawodawczego począwszy, do wszystkich zgromadzeń, warstw ludności, różnemi sposobami uderzał on i kołatał za Polską.

Od pierwszego rzutu oka można było się spodziewać, że nam pomocy rzeczywistej, zbrojnej w walce z najazdem nie da ani Francja, ani inne mocarstwo. Ale było też do przewidzenia, że w chwili poczucia się narodu dość silnym do walki, Zachód może dać nam moralne poparcie, a to jest wielkim czynnikiem pewności wygranej.

Kom. nar. w swem pierwszem sprawozdaniu zawczasu wygłasza 9 lutego 1832: „Przychodzicie goście na ziemię Francuzów, nie naszą jest rzeczą wdawać się i rozbierać ich domowe spory.“ I zdanie to często wypowiada w swych pismach. Wszelako nawet tak bezwzględnie postawiona sprawa polska, przy bliższem zetknięciu się z życiem musiała odrazu rozróżnić dwie Francje: ludową, obejmującą serca obywateli narodu, która nam była jak najprzyjaźniejszą i nie szczędziła zarówno pieniędzy, jak i moralnego poparcia; a drugą rządową, która kładła tamę do wszelkiej przedsiębiorczości prywatnej Polaków, stawała tamą, wymagającą za szafarstwo narodowego grosza przeznaczonego na *subsydja*, zupełnej nieczynności i nieledwie próżniactwa. „Między rządem tutejszym a narodem nie ma jak się zdaje stosunków ufności jakie rządzącego powinny łączyć z rządzonym.... My doznajemy w narodzie przyjaźń, braterstwo, czułość..... Żalimy się jednak, że ministerjum nie odpowiada głosowi powszechnemu, nie możemy tedy uniknąć, abyśmy nie mieli zwrócić baczności waszej na to co bezpośrednio nas wszystkich dotyczy.“

Poselstwo nasze, czyli legacja powstańcza nieudolna i bezcelowa nie umiała się postawić w obec rządu, ani przemówić w imieniu narodu stanowczo, gdy komitet centralny walczył z opinją za nami. Nie umiejąc ani w Paryżu, ani w Londynie w czasie walki znaleść dróg do rządzących, mimowolnie zubezwładniła się i głosu zabierać nie miała prawa po walce. Komitet zaś narodowy, wynikły na stypie pogrzebowej powstania, z natury rzeczy nie mógł od razu mieć poważanego głosu w obec ministerstw. Wpływanie więc na rząd zostawało komitetowi centralnemu, zarówno jako i na izby. A tam był wierny nam zawsze Lafayette, a materjałów zawsze mu dostarczał jego adjutant i nieodłączny przyjaciel, członek obydwóch komitetów, Chodźko. Za pośrednictwem ostatniego Lafayette wszedł w ścisłą przyjaźń z Lelewelem i dwaj ci prezesi i archiwista pomocnik przy redakcjach francuskich wszelkich odezw lub nawet ich układach, przedstawiają tę trójcę, stanowiącą odbicie dokładne całej polityki tułactwa w obec Francji w pierwsze chwile po powstaniu.

Przybywającym do Francji, ministerjum od początku wyznaczyło kilka tylko punktów na miejsce pobytu i z nich nie pozwalało się oddalać. Do stolicy przybywały tylko wyjątkowe osoby. Z razu na zakłady wyznaczono *Avignon* i *Chateauroux*, *Besançon* (Awinią, Szatoru i Bezanson) i usunięto przychodniów od wszelkiego pożytecznego i zyskownego zajęcia. Wprawdzie zaczęto płacić żołd, ale ścieśniono całkiem wolność pracy. Nadto w Awinionie ludność była nieprzychylna wychodźtwu. Dla tego to komitet narodowy w pierwszem sprawozdaniu użala się: „Legacja od wielu miesięcy tu w Paryżu przebywająca widziała nieszczerość i nieżyczliwość rządu dla sprawy naszej i wyraźny wstręt do niej.... Doznają rodacy nasi dolegliwych ścieśnień przez rząd przepisanych, lękają się o swoją narodowość i w okrutnej nadal niepewności zostają.“

Nieprzychylny rząd postanowił przemocą

zmienić przychodniów na narzędzia podboju i zgromadzonych w Awinią miał wysyłać do cudzoziemskich legionów na podbicie Algieru. A dla zmniejszenia środków porozumiewania się wzajemnego nie dawano paszportów nawet tym, co nie pobierali żadnych zapomóg.*) I gdy ludność miejscowa prowincji otaczała najżywszem współczuciem wychodźców, to jeszcze i wtedy na usilne starania prefekta dep. Mozeli, ministerjum obiecało tylko pozwalać przenosić się wychodźcom do innych miejsc; ale i to powinni byli pozostać w przyzwoitem oddaleniu od Paryża, a sam *Niemojowski* Bonaw. był prześladowany przez policję tak dalece, że napisał do posłów francuskich: „Jeżeli postanowiono żeby współczucie narodów nie było w stanie ochraniać przeciwko świętemu przymierzu rządów, jeżeli nie ma już przytułku we Francji dla wygnańców Polski przed despotyzmem ludojadów Północy; więc nie chcąc zdeptać zasady własnej niepodległości i nie chcąc poddać się jak ilota ministerjalnemu despotyzmowi, przeciwko któremu nie ma innego oręża oprócz wolności protestacji; nie mogąc się odwołać pod obrony ustaw, ani do uznania prawa gościnności, idę poszukać przyjaźniejszej ziemi".**)

Podobne wypadki powtarzały się niejednokrotnie. Komitet narodowy, pragnąc temu zaradzić, wnosi do sejmu franc. petycję w imieniu Polaków wychodźców. „Niegdyś była Francja przytułkiem królów z tronu wyzutych. Dziś lud francuski daje przytułek obrońcom wolności i niepodległości narodów"..... zaczyna on, a później przypomina, że „niedawno uzbrojony naród polski, piersiami swemi opodal zasłaniał Francję od najazdu i zostawił swe dostatki, mienie na pastwę zwycięzcy." A później wystawiwszy, że „krew polska tryska nieostygła ze świeżego boju i tryska na sprawców nieszczęścia", komitet wymownie kreśli następne słowa: „Wyparty z ojczystej ziemi Polak chroni się do Francji, *spotyka sympatję ludu, która go jawnie przyjmuje,* przytułek mu i opatrzenie udziela. *Wylewa się serce ludu,* szczodre gromadzi wsparcie, przekazuje publiczne narodowe fundusze rządowi poruczone na przyjęcie i utrzymanie wojowników polskich, oczekuje.... przybycia.... tych, którzy się jakimkolwiek sposobem ojczyźnie poświęcili; *a przecie Polak tułacz narzeka we Francji.*" A wystawiwszy wszystkie niedogodności zanadto silnej opieki, wzbraniającej robić cośkolwiek wychodźtwu, nie dozwalającej nawet przejazdu z miejsca na miejsce, znowu woła: „O swoją wolność dbający Polak, znieść nie może podobnego niewolenia, opiera się takiemu zasłaniu, *a więcej złorzeczy nieludzkości jaką we Francji,* wśród gościnnego, z bratniem sercem ludu doznaje, *aniżeli swemu nieszczęściu,"... „król i izba deputowanych* przyznały i *zaręczyły całość narodowości polskiej,* że ta nie zginie. W to ufny wojownik spieszy do Francji z przekonaniem, że na ziemi francuskiej, nie cudzoziemcem, *ale Polakiem będzie, pewny że znajdzie jawne dowody tych uroczystych zaręczań; a przecie zawiedziony zostaje.*"

Rząd werbował, a raczej przemocą chciał zamieścić emigrantów w armji cudzoziemskiej afrykańskiej. Być najemnikiem, lać krew za obcych jak lało się z Napoleonem I, po powstaniu listopadowem było wręcz przeciwnem pojęciem ogółu. Z tego to powodu w prożbie swej do Izb francuskich komitet dobitnie powiada, że nawet *„przeznaczenie to mija się z naszą narodowością,* bo w narodowości tej tkwi głęboko wrażone uczucie, że krew jej *nie dla zdobyczy jest jeszcze zachowana, ale dla wolności...* Przybywa (Polak) do Francji unosząc z sobą swe cnoty i pozyskane imię, a tu pomimo zaręczeń uroczystych, ma zostać igraszką losu niepewnego: ma być pokryty cieniem okrutnej niepewności gorzkich dla niego *tajemnic, krzywdzących naród francuski,* który przez organ przedstawicieli swoich, przez objawioną dla sprawy polskiej przychylność, z jej rozbicia pozostałych szczątków wyprzeć się nie może i ocalić je powinien; bo w tym momencie *przedewszystkiem dotrzymanie słowa tułaczom przynależy.*"

Przemawiając ustawicznie podobnym tonem komitet zażądał ażeby: 1) każdemu tułaczowi pozwolono było mieszkać gdzie zechce i otrzymywać karty pobytu i paszporta, i to niezależnie od dawanego żołdu przez rząd; 2) by każdemu potrzebującemu dawano pomoc; 3) ażeby ministerjum użyło swych dyplomatycznych stosunków dla ułatwienia sprowadzania wojskowych polskich z Niemiec do Francji; i ostatni punkt, jakby za wynagrodzenie współczucia Francji i jej zachodów: 4) komitet nar. żąda ustanowienia osobnego legjonu polskiego, z polską komendą i oznakami narodowymi i że „wojownicy nasi pójdą pod chorągwie Francji wszędzie tam, gdzie za wolność i sprawę ludów walczyć przyjdzie". Polacy w tym czasie rzeczywiście gotowi byli zaciągnąć się do szeregów francuskich tłumnie, bo jeszcze zbyt żywe było podanie o legionach napoleońskich, bo jeszcze po pułkach pełno było żołnierza z czasów Dąbrowskiego. Toż samo podanie walk napoleońskich i przekonanie że się okupiło prawo obywatelstwa francuskiego krwią przelaną kilkuset tysięcy Polaków za obcą im sprawę Francji, mogło natchnąć tak stanowczy adres do izby i ministrów. I tylko współczucie Francji było przyczyną, że nawet niechętna nam większość rządowa posłów przyjęła adres pod dyskusje.

Party wymaganiem izb, rząd rzeczywiście wysłał do 300.000. z przeznaczonych na zapomogi Polaków żołnierzy, trzymanych w Prusach; lecz te sumy poselstwo rozdało prawie wyłącznie między powracających do pęt Mikołajowskich; o legjonie zaś nie myśliło nawet.

Wtedy prezes ministrów Kazimierz *Perier,* napastowany przez izbę, powiedział na posiedzeniu, że: „rząd francuski uczynił wszystko co tylko zależało od niego dla zapobieżenia upadkowi Polski, nie wystawiając na szwank ani godności, ani interesów Francji", że on sam, *Perier,* „starał się pomagać Polakom całą siłą, jaka była w jego mocy i wypełniał obowiązki, jakie na niego wkładała ludzkość, wypełnił wszystkie powinności i wzywa do okazania choć jednego rozporządzenia uczynionego przeciw Polakom, że sam kocha Polaków", — i wystąpieniem tak bezczelnem i tak dyplomatycznem zawiązał dyskusje niepodobieństwem odpowiedzi na razie przez posłów nam sprzyjających. Jednak *Odillon Barrot* stanął stanowczo w obronie naszej, a *Lafayette* przypomniał ministrowi, że on *„bez wahania winien wojownikom naszym wdzięczność, a ta powinna być niezmierna."* Lecz tego nie dość. Lelewel musiał dopełnić u posłów brak znajomości stosunków rzeczywistych i w liście swym do Periera wytyka Awinią i legje afrykańskie: „bez wątpienia czujesz to dobrze prezesie, że rozporządzenia twoje są mocno przeciw Polakom." Na dowód przytacza on słowa samego ministra, że rozkazał wydawać paszporta jedynie tylko oficerom, którzy mieli ten stopień przed wzięciem Warszawy." To rozporządzenie było tem haniebniejszem, że wydane w chwili gdy Prusacy mordowali żołnierzy niechcących wracać pod panowanie knuta. W rzeczywistości minister, co w mowie 21 lutego, przechwalał się, że „kocha Polaków więcej od tych, którzy zbyt głośno o swoich rozprawiają uczuciach, w grudniu 1831 pisał do prefekta Mozelli o pragnących się dostać do Paryża: „Powtarzam, że nie mogę zadość uczynić żądaniom wyrażonym z tego powodu, lecz rozporządzenia mocą którego żaden cudzoziemiec nie może być upoważnionym dostać się do Paryża, są zbyt jasne, by pozwalały robić jakiekolwiek wyjątki ... Jeżeli oni życzą wybrać inne miejsce pobytu niż Szatoru (Chateauroux), lecz również oddalone od stolicy, proszę mi donieść, a będę miał przyjemność wejść w ich żądanie." A zaciekłość w tym względzie rządu była taka, że minister dawszy pozwolenie jł. *Umińskiemu* na pobyt w Paryżu, w Izbach zarzucił mu samowolny przyjazd.

To też Lelewel pełen oburzenia pisał: „Bądźcie pewni, że serca nasze jedynie dla ojczyzny i wolności biją. Nie jesteśmy najemnikami jak niegdyś Szwajcarzy. Pchnięci do Francji przybywamy nieszczęściem naszem dumni. Czyli nas nazwą narodem w ułomku..... jesteśmy Polacy wszędzie.... potężni naszą wytrwałością i nadzieją, silni narodowością i działalnością." A wykazawszy, że „łatwiej nas oszukać niż byśmy krzywem podejściem działać umieli." Lelewel kończy: „bez wątpienia przyznasz iż ta wada stawia *nas w niebezpiecznem położeniu we wszystkich działaniach polityki lękliwej, niechętnej i krętej.*"

Gdy w Paryżu w izbach toczyły się spory o Algierze, trzydziestu rodaków przeznaczono do wysłania. Piszą oni publicznie 3 lutego: *„Nie przyjmiemy żadnych warunków* i nie wejdziemy w służbę dopóki rząd francuski nam nie zaręczy, iż nas nie użyje przeciwko Arabom i Beduinom. *Kości przodków naszych po polach Egiptu i Haity sterczące* widocznym są dowodem, iż *dosyć długo ojcowie nasi w sprawie cudzej dla samej tylko sławy walczyli.... Interes tej drogiej ojczyzny nie ma nic wspólnego z polityką monarchów,* nie ma nic wspólnego z wojną, która się jeszcze nie zakończyła w Algierze." Do warunków legjonu polskiego z narodową barwą, dodają awinioński oficerowie, żeby organizatorem lub dowódcą tego legjonu *nie był żaden przedpokojowiec ministrów,* ale Polak, którego przeszłość byłaby rękojmią tego co w przyszłości ma zdziałać." Do wysyłania naszych wiarusów na rzezie Beduinów, całe dyplomatyczne nasze polskie stronnictwo miało wielką pokusę. *Kniaziewicz* wyrzucał komitetowi, że odmawia rodaków od zaciągania się do służby wojskowej i wyjeżdżania do Awinionu, że nie tylko w tej mierze wydaje zakazy w Paryżu, ale nadto rozesłał agentów swoich nad granicę, aby z drogi do Awinią odwracali." Z tego powodu ubolewa komitet w 2-giem sprawozdaniu: „Położenie naszego tułactwa zawsze jest opłakane. Każdy z nas pojedyńczo tułacz.... z boleścią serca nie widzi (Polaków) bezpieczeństwa, a widzi coraz nowe dowolne rozporządzenia, zagrażające mu spokojność i w okrutnej utrzymujące niepewności." A wypierając się odmawiania od zaciągów afrykańskich wysyłał komitet Konst. *Zaleskiego* do Strasburga, a Mich. *Podczaszyńskiego* do Metz, by objaśniać rodaków nowo przybywających o stanie rzeczy. Jenerał *Pelet* pisał list do Bezansonu (Besançon) podobny do Kniaziewiczowskiego i znowu szły pokątne podmowy. A równocześnie prawie

*) Zdanie sprawy z czynności komitetu narodowego polskiego od 8 grudnia 1831 do 15 lutego 1832 str. 9.

**) Lettre de m. Niemojowski; petycja do izb francuskich.....

rząd wydał rozkaz, by połowę zebranych w Awinionie przeprowadzono do *Lunel* nad morze i wszelkie prawdopodobieństwo przemawiało, że wsadzą ich tam na okręt.

Opór był powszechny. Objawili Polacy, że nie pójdą. Ale ministerjum ponowiło rozkaz z zagrożeniem, że opornym będą odebrane „gaże i żywność.“ Wtedy, powiada komitet: „*chcieli wojownicy nasi Francję opuścić, żądali paszportów:* zaledwie ukojono ich słuszną boleść i godne wzruszenie.“ Wtedy to *Lelewel,* prezes komitetu, jak matka czuła widząca zagrożone pisklęta, wydał ten okrzyk wymówny i pełen siły w liście do Lafayetta. W wigilję rocznicy bitwy pod Dębem i Wawrem woła on: „Ty spisz? ocknij się Brutusie! rozległ się niegdyś głos republikański i zemsty w Rzymie wywołując uspione cienie. Zarówno dzisiaj my Polacy w niedoli naszej możemy ci powiedzieć: ty spisz? ocknij się Lafayetcie; ty jedyny przyjacielu Polaków, ty jeden, który szczerze i otwarcie popierałeś ich słuszną sprawę; ty oddajesz na pastwę wiernych przebiegów, małe szczątki narodu opuszczonego od wszystkich..... Milczysz wówczas *kiedy ich gnębią i popychają z miejsca na miejsce, kiedy położenie ich staje się coraz smutniejsze i okropniejsze,* kiedy są wiedzeni nad przepaść zguby! Szmer oburzenia, głos przekleństwa, przenikają całą Francję, sięgają stolicy i wdzierają się do twojego zacisza..... *Ponure i srogie prześladowanie zdaje się ich ścigać,* utrapienie ich wzrasta. Ktoby ręczył, że nie zostaną wydani na jatki Beduinom? Kto zapewni, że nie będą wysłani do wysp Burbon albo Madagaskaru?“.....

Nawet *Mauguin,* ten wymowny obrońca naszej sprawy, już przeszedł był na stronę popieraczy afrykańskich legji i Lelewelowi wychwalał klimat i radził porozumienie się z jł. *Clauzel* i nie odmawiać od wyjazdu, który nie przedstawiał nic wielkiego, ręczył „że Polakom w Algierze będzie lepiej, niżli było we Włoszech lub Ameryce, że będą swobodni i wolni od dalszych prześladowań rządowych.“ Ale właśnie, że rodacy nie chcieli popełnić tych błędów co popchnęły ich na niesumienną walkę na st. Domingo lub do Egiptu.

Lafayette jednak odpowiedział do Awinionu na protest, i odpisał Lelewelowi 29 marca: „Nie mniemaj żebym spał kochany Lelewelu, codzień mówię prezesowi rady (*Perier*) i ministrowi wojny (*Soult*)..... Nie mogłem z trybuny swarów rozpocząć, nimby przeszła propozycja dwu miljonów subsydjów dziś uczyniona“.... *Laboissière* pisał również uspokajając zatrwożonych wojskowych naszych. Rzeczywiście w sejmie zaczęły się spory; Lafayette nie omieszkał zabrać głos i ministerstwo obiecało nie wysyłać. Lecz pierwej wniosło ów ohydny *alien bill* nazwany *prawem orlowowskiem.* Prawo to przyjęto 9 kwietnia, a mocą jego cudzoziemiec nie mógł się odwoływać do francuskiego prawa, lecz pozostawał całkowicie na łasce policji i ministra.

Wrażenie tego prawa na wychodźtwo odbija się w następnych słowach spraw. komitetu: „Słusznie powiedzieć możemy, *że nie wiemy kto jest więcej do pożałowania, czy rodacy nasi w domu pod jarzmem pozostali, czy my tułacze.*“ Czując że prawo to wystosowane głównie przeciwko Polakom, zamierzali oni opuścić Francję. Nawet komitet narodowy wystąpił z jawną protestacją; a wtórzyło mu oburzenie całej Anglji, emigrantów Polaków, Włochów, Hiszpanów i Niemców. „Nie przypominamy tu praw narodu naszego, pisze komitet, bo w czasie gdyśmy zbrojnie na własnej ziemi walczyli, *ministerjum francuskie wyrzekło, żeśmy zginąć przeznaczeni.* Ale izba deputowanych objawiła zapewnienie, że narodowość polska nie zginie. Cóż z tą narodowością zrobiła? *prawom naszym opieki nie dało, a tułaczom opieki praw francuskich odmówiła.* Prawo *justice et d'amour* przedtem spękało się o izby panów, jeśli alien bill temuż ma uledz losowi, czyli dla honoru Francji i przez wzgląd na niedolę tułaczów prawodawcy Luxemburga zechcą zabiezpieczyć im wolność człowieka?“

A dalej powiada: „Izba deputowanych zdecydowała, że Polacy są ciężarem dla Francji: w takim razie tułacze powinni by ją niezwłocznie opuścić. Uczynili by to... gdyby tak liczne dowody nowe współczucia braterskiego nie okazywały niezmiernej różnicy między rządem a rządzonymi. Komitet narodowy przenikając uczucie boleści ziomków swoich, przewiduje chwile, w których opuszczą Francję.... przewiduje, że przy pierwszej sposobności i możności tułacze polscy wyjdą precz.“

W sprawozdaniu zaś swojem komitet dodaje: „Te liczne zdarzenia, które nas dolegliwie tu we Francji dotykają, są jawnym dowodem, że *sprawa nasza nic w teraźniejszym systemacie polityki zyskać nie może, niczego dobrego od niej spodziewać się nie może.* Jedyna nadzieja w przyszłości i w postronnych zmianach.“ Jednak mimo wszelkie protesta opinji powszechnej rząd francuski nie uwzględnił dążności ludów i 21 kwietnia 1832 król zatwierdził alien bill, oddając wychodźtwo na łaskę policji. Należało więc myśleć na serjo o bezpiecznem miejscu pobytu, którego Francja mogła pozbawić. Wtedy komitet narodowy zwrócił swą uwagę na Stany zjednoczone. (C. d. n.)

Piśmiennictwo francuskie.

Histoire de la Russie przez p. *Alfreda Rambaud; Histoire de la Litterature contemporaine chez les Slaves*; przez p. *C. Courrière; Histoire de l'Autriche-Hongrie* przez p. *Ludwika Léger.*

(Ciąg dalszy).

Ciekawszą aniżeli historja literatury jest charakterystyka epok politycznych, odpowiadających epokom produkcji piśmienniczej. Epokę upadku Polski za Stanisława Augusta znamionuje, według autora, „rywalizacja pomiędzy dworem a prowincją, pomiędzy stronnictwem nowatorskiem a starem stronnictwem polskiem“, która „tłómaczy nienawiść jaką to ostatnie żywiło dokróla i była jedną z przyczyn głównych konfederacji barskiej (1768). Konfederacja ta, rezultat fanatyzmu politycznego i religijnego, którego nie usprawiedliwiało nic, sprowadziła wojnę domową, skomplikowaną buntem hajdamaków na Ukrainie, gdzie szlachta, żydzi i księża padali pod ciosami tych, których tak długo prześladowali i eksploatowali. Wszystkie te wypadki i wojna turecka, która po nich nastąpiła, sprowadziły pierwszy podział (1772).“ Dotąd tegośmy byli przekonania, że konfederacja barska zawiązała się przeciwko wpływowi cudzoziemców; zaś wojna turecka figuruje w ustępie w taki sposób, że nieznający historji polskiej czytelnicy francuscy wezmą ją za wojnę pomiędzy Polską a Turcją. Konstytucję 3 maja przedstawia autor, jako rezultat przewagi stronnictwa dworskiego. Zmieniła ona Polskę w monarchję dziedziczną.“ Ale — powiada — sejm nie miał odwagi bycia konsekwentnym w odniesieniu do swoich zasad; zachował dla szlachty wszystkie przywileje..... Co zaś do chłopów ci *mogli* zawierać z panami układy *dobrowolne.* Wyrazy „mogli“ i „dobrowolne“ (*de gré en gré*) podkreśla, a to dla pouczenia pana Mazade, „który zalał *Revue des Deux Mondes* artykułami o Polsce,“ stronniczemi i podejrzanemi, że „poddanych (*les serfs*) wyzwolił dopiero rząd rossyjski.“ Przechodzi następnie do Targowicy i nie tłumaczy ani dla czego konfederacja ta zawiązała się, ani z jakiego powodu Katarzyna II wydała Polsce wojnę, powiada jednak, że wkroczenie wojsk rossyjskich wywołało „*un sauf qui peut général* i można było widzieć wówczas, jak szlachta polska głęboko zdemoralizowaną była. Ci co przedtem zarzucali króla żądaniami, opuścili go.“ Z powodu opuszczenia tego król nie mógł dalej wojny prowadzić.

Opowiada o epoce stanisławowskiej literatury polskiej, o wpływie francuzczyzny, o autorach wydatniejszych, następnie o królestwie kongresowem, o walce klasycyzmu z romantyzmem i o powstaniu r. 30, wskutek którego literatura wyniosła się do Francji, gdzie rozwijała się pod wpływem niezgody, jaka się wywiązała pomiędzy demokracją, nie rozumiejącą wygłaszanych przez siebie zasad, a arystokracją, nie wiedzącą czego chce. Romantyzm polski mieni arystokratycznym; za koryfeuszów onego podaje Malczewskiego arystokratę, Bohdana Zaleskiego, poetę ukraińskiego, wyższego od nich obydwóch Goszczyńskiego, Mickiewicza, który pana Tadeusza napisał, będąc do tego namówionym przez Henryka Rzewuskiego, etc. Poezja po r. 1831 rozwija się na emigracji; w kraju nie istnieje prawie; ale: „Jeżeli — powiada — w Polsce poezja nie dosięga wysokości, do jakiej doszła na emigracji, widzimy za to wynik rodzaju nowego, który zabierze miejsca coraz to więcej i skończy na zdetronizowaniu poezji. Chcę mówić o romansie, a raczej o tem co po polsku nazywa się *powieść,* to jest opowiadanie. Forma ta literacka odpowiadała daleko lepiej gnuśnym i apatycznym gustom społeczeństwa owoczesnego. Romanse francuskie wielką posiadały wziętość. Powieść polska z nich wzory wzięła. Bohaterowie jej są wytworami czysto fantastycznymi; pozbawioną jest rzeczywistości i reprodukuje życie, jak „na chustkach od nosa reprodukują się kompozycje wielkich mistrzów“ (Krasz.). Dwaj wielcy epoki onej (1830—46) romansopisarze posiadali wszystko co potrzeba do nadania spółcześnikom swoim jakowegoś życia, do natchnienia ich zamiłowaniem pracy i postępu. Czy próbowali tego? czy celowi temu poświęcili talent, którym rozporządzali? Jeżeli Kraszewski czynił to kiedy niekiedy, lecz w bardzo małej mierze, Korzeniowski nie próbował tego wcale. Nie wyszedł on z błota, w którem grzęzli spółcześnicy jego. Umiał im jednak dogadzać i tem się tłómaczy powodzenie jakiego doznał.... Kraszewski — wykłada p. C. C. dalej — wprowadził do romansu nutę, której nie znał ani Korzeniowski, ani żaden z pisarzy tej epoki. Korzeniowski jest idealistą, Kraszewski satyrykiem i z lekka realistą.... zbliża się do Korzeniowskiego jednostajnością tonu i monotonią stylu; brak mu werwy dramatycznej.“

O Henryku Rzewuskim wspomina od niechcenia, nazywa go redaktorem Tygodnika Petersburskiego.

Emigracji nie pochlebia też, zwłaszcza zaś demokracji, o której mówi przy okazji wypadków r. 1846—48. „Ażeby zrozumieć dobrze wy-

padki r. 1846 i 48 (rzeź galicyjską, powstanie w Poznańskiem i bombardowanie Lwowa), potrzeba odnieść się do tego, com mówił o walce jaka wybuchła w łonie emigracji pomiędzy stronnictwem demokratycznem a stronnictwem arystokratycznem. Demokraci, fałszywi Jakobini, nie rozumiejący słowa jednego z wyznawanych przez nich teorji, i którzy bardzo by się zdziwili, gdyby teorje te w zastosowanie weszły, wybrali Galicję na teatr propagandy swojej i czynów. Zapomnieli oni jednak, że narzędzie rewolucyjne jest orężem obosiecznym i w chwili gdy Polacy powstali przeciwko Austrji, chłopi maloruscy (?... Małorusini w Bocheńskiem i w Tarnowskiem!..) powstali przeciwko nim. Insurekcja w Galicji i w Poznaniu dowiodła raz jeszcze tym tak zwanym patrjotom, ślepym i upartym, że rewolucja złym jest sposobem do podniesienia lub leczenia ludu... Społeczność polska, przestraszona ekscesami demokratów (?), łączyła tych ostatnich z liberałami.“ Ztąd, według pana C. C., zamanifestował się ruch wsteczny. Na pole powieściowe występują Kaczkowski i Zacharjasiewicz — ten ostatni w późniejszych utworach swoich chyli się ku realizmowi. W Królestwie w tej epoce odznaczają się Syrokomla i Kraszewski. „W romansie zawsze Kraszewski w pierwszym znajduje się szeregu.“

Rok 1863 sprowadza na polu czynności literackiej stagnację, jeden tylko Kraszewski bawi publiczność „anodynowemi“ swojemi powieściami. „*Cette societé malade, qui veut oublier la vie réelle, se jette sur ses powieść* i na romanse zagraniczne. Wszakże około r. 1872 dokonywa się reakcja w życiu intelektualnem, budzą ją *Przegląd tygodniowy i Niwa*. „Wybucha walka pomiędzy tradycją, obskurantyzmem, duchem abstynencji i idealizmem z jednej, życiem, zamiłowaniem pracy i postępu i realizmem z drugiej strony. Zapał jednakim jest w obu obozach. Lecz jestto kłótnia o wyrazy raczej, aniżeli o idee. Biją się o system nie rozumiejąc onego, albo też zastosowując go fałszywie“. Oddziaływa to na literaturę. Poezja ginie; w powieści Kraszewski występuje po staremu i daje cykl powieści historycznych, których obiecał z każdej dostarczyć epoki. „*Est-ce une gageure? un défi à la vieillesse et à la volonté humaine?*“ zapytuje autor, porównywując pod względem płodności Kraszewskiego do Dumasa ojca i przyznając, rzecz prosta, wyższość temu ostatniemu. Wymienia dalej, zcharakteryzowanych w krótkości, Zacharjasiewicza, panią Marenné, panią Elizę Orzeszko, Zbigniewa, Jeża, Jordana, Przyborowskiego, Lama, Bałuckiego, Tretiaka, Sienkiewicza; czterech ostatnich zalicza do pisarzy galicyjskich.

Na czele pracujących dla teatru umieszcza Fredrę ojca, który narodowym jest tylko w Zemście, zresztą naśladował Moliera; Korzeniowski narodowym nie jest wcale. po nich idą Chęciński, Narzymski, Fredro syn, Bałucki, Lubowski, Sarnecki; w dramacie: Szujski, Dzieduszycki, Rapacki, Okoński, temu ostatniemu przyznaje talentu najwięcej.

W historycznych pracach działalność rozpoczyna Lelewel, do niego szlusuje Mochnacki, dalej idzie Moraczewski, któremu zarzuca pan C. C., że Polskę nazwał rzeczpospolitą, dalej Łukaszewicz (Hist. szkół); Szajnocha jest polskim Thierrym i Macaulayem, przyznaje mu wyższość nad Lelewelem; wymienia następnie Bielowskiego, Dzieduszyckiego, Balińskiego, Bartoszewicza, Schmidta, Szujskiego. Dwaj ostatni stanowią epokę przejściową, po nich jedni naśladują Lelewela, drudzy Szajnochę. Hoffman rehabilituje Bolesława Krzywoustego; drugiej rehabilitacji podjęli się z powodzeniem ks. Kalinka, Gumplowicz i Bronisław Zaleski. Wzmiankuje jeszcze Jarochowskiego, Morawskiego i Maciejowskiego, a także wydawnictwa profesora Pawińskiego, bibljoteki Krasińskich i bibljoteki Ossolińskich.

W zakresie archeologji figurują nazwiska znane i nieznane. Filologją, etnografją i studiami nad Słowiańszczyzną Polacy zajmują się mało. W historji prawa polskiego odznaczył się Helcel; w ekonomji politycznej Tęgoborski; o Skarbku, o Supińskim, o Bielińskim p. C. C. nie wie nic. Historyków literatury wymienia wszystkich, palmę pierwszeństwa przyznając Maciejowskiemu.

Krytyków charakteryzuje tak: Siemieński i Tyszyński — klerykały, Tarnowski — klerykał także, Lewestam: powierzchowny, Klaczko zdolny „lecz“ należy do tej starej szkoły, która na klęczkach przed przeszłością i tymi co ją wysławiają, tyle złego krajowi tendencjami swojemi wstecznemi wyrządziła“. Chmielowskiego pochwala za realizm, gani go jednak za to, że suchy.

Bibljografja i filozofja, z których w pierwszej jako pracownika podaje Estrajchera, o drugiej zaś mówi nie wiele, zamykają historję literatury polskiej, otwierając wrota dla konkluzji.

Dla konkluzji tej cała napisaną została książka.

Tytuł jej: *Panslawizm i kwestja wschodnia.*

(C. d. n.)

SAMOTNOŚĆ.

Żal mi was, jeśli, tłumów miłośnicy,
Żyć nie umiecie, jak dla nich i z nimi,
Jeżeli z dala od zgiełków stolicy,
Wraz się mienicie być pokrzywdzonemi.
Jeśli bez świadków klaszczącego koła,
Połowę z każdej tracicie radości,
Jeśliście obcy ponętom anioła.
Odosobnienia ciszy, samotności!

Jeśli nie wiecie, jak płyną godziny
W tajnej, sam na sam z naturą biesiedzie,
Na puszczy, w wonnych pomrokach gęstwiny,
Gdzie żadna ścieżka deptana nie wiedzie.
Jeśli nie znacie smętnego uroku
Własnej izdebki, chociażby poddasza,
Gdzie wzrok was żaden nie szpieguje z boku,
Gdzie gość natrętny nigdy się nie wprasza.

Żal mi was szczerze, bo to, co was ludzi,
To, za czem chciwie gonicie, na żwawsze,
W łasce, w uśmiechach, w przymileniach, ludzi,
Zawodzi często, iż nie mówim — zawsze!
Bo choćby nawet, pieszczonym jak mało,
Los rozczarowań oszczędził piołunu,
Choćby się nawet komu z was udało
Całość wiar swoich donieść do całunu,

To nawet wtedy, ten przywilej rzadki,
To niesłychane doli pobłażanie,
Nie da mu klucza do szczęścia zagadki.
Klucz ten albowiem tam złożony, Panie!
Kędy mniej potrzeb, mniej więc kajdan przeto,
Mniej form, mniej granic, mniej pokus, mniej sideł,
A więcej miru, a więcej, poeto!
Przestrzeni — nieba, i wolności — skrzydeł.

Na puszczy! Tak jest! w objęciach przyrody,
Matki wszechmądrej, matki wszechwspaniałej.
Tam, gdzie niezłomne wszystkiego powody,
Wieczność przetrwają, jak wieczność przetrwały!
Gdzie nie masz fałszu! kędy, wbrew potwarzy
Niedouczonych, kaprys się nie pleni!
Gdzie przeszłość w szumie starych dębów gwarzy
I gdzie się przyszłość w runi łąk zieleni!

Lub w czterech ścianach zacisznej komnaty,
Ach! czy ta będzie przestronną, czy ciasną,
Czy przystrojoną w drelich, czy w bławaty,
Byleby tylko swoją była, własną!
Byleby tylko dłoń wasza starannie,
Od nieporządku strzegła ją i brudu,
Byleby tylko nikt w niej bezustannie
Słodkich wam marzeń nie mącił, ni trudu!

Szczęście tam tylko! Gdzieindziej? Naprożno
Szuka go tylu i wy nie znajdziecie!
O jakże radbym, dłonią wam usłużną,
Odkryć znikomość walk waszych na świecie!
O jakże radbym!... Lecz, daremnie płaczę!
Nikt gędźb lirnika na serjo nie bierze.
Skończył... „Co mówił?“ — pytają słuchacze.
Ciżb kochankowie! Żal mi was! Żal szczerze!

Paryż d. 8. lipca 1879 r.

J. S. Chamiec.

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

(*Ciąg dalszy.*)

V.

Powiedzieliśmy, że piękna baronówna zadziwiona aż przelękła się szczęścia, które czytała na twarzy Emila.

Inaczej być nie mogło. Uważała go za swego milczącego czciciela i cieszyła się czcią, jakiej była przedmiotem. Widywała go zwykle w usposobieniu skłonniejszem do smutku niż do uśmiechu i znajdowała to naturalnem. Teraz, widząc szczęście na jego twarzy, zdziwić się musiała, bo to szczęście nie pochodziło od niej, chociaż sądziła, że ona trzyma je w swych rękach, i musiała się przekonać, że skoro Emil mógł być szczęśliwym bez niej, to bardzo prawdopodobnie w jej rachubach i przypuszczeniach zachodziła jakaś pomyłka.

Nie dała jednak tego poznać po sobie wychowana w pałacu córka tytułowanego ojca.

Rozpoczęła rozmowę obojętną, Emil prowadził ją wesoło.

Po niejakim czasie wytrzymać już dłużej nie mogła.

— Pan dziś taki szczęśliwy — zauważyła niby nawiasowo.

— Odgadła pani — odpowiedział Emil, patrząc jej w oczy.

Nie wiedziała dlaczego, nie mogła jednak wytrzymać jego wzroku.

— Mieliśmy się dzielić — szepnęła jakby z niechcenia — naszemi smutkami i szczęściem...

— Pamiętam, pani... szczęściem jest odkryć długo ukrywaną w głębi piersi tajemnicę miłości...

— A! — z obawą i niepokojem, rodzajem lekkiego wykrzyknienia przerwała baronówna.

— Szczęściem nieziemskiem — ciągnął nie zatrzymując się Emil — usłyszeć słowo przyzwolenia z ust wybranej... Takie wyznanie, pani... ja dziś...

Przerwał na chwilę, bo Nina niepokoju ukryć nie mogła i dziwnym wzrokiem na niego patrzyła. We wzroku tym, dla bieglejszego czytelnika było napisanem wyraźnie, że baronówna walczyła z nadzieją, iż po tej przerwie usłyszy słowa: „pragnę złożyć“, oraz z obawą, że z ust Emila wybiegnie jak grom rozczarowania bolesna dla niej prawda: „już złożyłem.“

Emil nie wiedział co znaczyło zmięszanie Niny.

—Panią gniewa że o tem mówię?... — zapytał.

Zapytanie podobne dodawało nadziei. Nina uśmiechnęła się, obawy pierzchać zaczynały z jej myśli.

Podała mu rękę i rzekła:

— Nie umiałabym się gniewać na pana, panie Emilu... kończ pan.

— Takie wyznanie dziś złożyłem i zostało przyjęte przez Natalję.

Nina zadziwiła się, ale zapanowała nad sobą.

Ścisnęła wargi, z których krew w mgnieniu oka odbiegła, i wycedziła zwolna, przez zęby, głosem jakiego Emil jeszcze nigdy z ust jej nie słyszał:

— Winszuję panu... będę miała ładną kuzynkę.

— Pani ją znasz?

— Z widzenia i... z wieści...

— Więc nietylko z mojego opowiadania?

— Nietylko... jeden z przyjaciół mego brata... hrabia...

Wszystkie te odpowiedzie były mówione tym samym głosem suchym i przykrym, jakim wymówiła pierwsze powinszowanie.

Cel ich był jasny. Wspominając o wieściach i o hrabi, Nina chciała wzbudzić w sercu Emila to, czego troskliwość Natalji o Gustawa wzbudzić w niem nie mogła — podejrzenie.

Była to jej zemsta doraźna. Dlatego umyślnie mówiła dorywczo, nawiasowo, tajemniczo.

Zdawało się jej, że rzuconego ziarna dosyć już będzie, żeby wydało plon, zresztą stała się już zupełną panią swojego gniewu.

Zmieniła nagle głos i twarz. Ubrała oczy i usta w gorączkowy, silący się na uprzejmość uśmiech i słowami spiesznie zadzwoniła serdeczne niby pożegnanie.

— Kochany kuzynku — rzekła przymiotnikiem poufałym, którego nie używała nigdy — daruj mi, że cię pożegnam... mam jechać z mamą do państwa Niegolskich... mam nadzieję, że się zobaczymy niedługo... jeszcze przed weselem... pamiętaj kuzynku... jeszcze przed weselem...

Ukłoniła się grzecznie i spiesznie wybiegła z salonu.

Do swojego pokoju potrzebowała przejść kilka innych. W kilka minut po niej przeszła przez salon pokojówka i udała się w tę samą stronę.

Zaraz za progiem znalazła na podłodze małą szmatkę.

— Co u licha!... batyst! — rzekła do siebie.

Podeszła kilka kroków i znalazła drugą szmatkę podobną.

— Oho! i druga! zaregestrowała sobie w myśli.

Tak szmatka za szmatką, gałganek za gałgankiem, jak po nitce Arjadny doszła do apartamentu jaśnie wielmożnej swej panienki.

— Cała chusteczka — mówiła do siebie przed progiem — cała chusteczka... cyfry jaśnie baronówny... *N. P.*... tak prześlicznie wyhaftowane... no, i kto to widział tak drzeć?... a to jej ktoś dopiero dokuczyć musiał!...

Otworzyła drzwi, chrząknęła, stanęła w progu.

Zastała jaśnie panienkę przy dziwnej robocie.

Stała przed nią zapalona świeca i leżało otwarte album fotograficzne..- jedną kartę wydartą z albumu, czyjś fotogram wraz z oprawą, baronówna paliła przy świecy.

Ogień nie wszystkiego się imie. Zbyt zbita masa papierowa, zapalana co chwila, co chwilę gasła.

—Co jaśnie wielmożna panienka robi?— zawołała z progu służąca.

— Głupiaś?... weź... spal to! natychmiast!...

To mówiąc Nina rzuciła swej pokojówce dzieło słońca, które dumne swem pochodzeniem spłonąć od świecy nie chciało.

Dziewczyna wzięła fotogram i odeszła.

W następnym zaraz pokoju przyjrzała się niedopalonemu portretowi. Spaliła się tylko część oprawy i któryś z rogów fotogramu.

— Ah! to ten kupiec — rzekła do siebie, poznając portret Rzewnickiego — otóż głupi!... brać się do baronówny, a nie do takiej jak sam... a ładny chłopiec!... jabym go tam z pewnością nie odrzuciła i nie skazywała na spalenie.

I portret naszego bohatera znikł za gorsem garderobianny.

Emil tymczasem, pozostawszy w salonie po odejściu tytułowanej kuzynki, zadał sobie pytanie:

— Co jej się stało?

Zamyślił się przez chwilę, przyszedł mu do głowy jakiś domysł, ale go odepchnął natychmiast.

— Gdzież znowu — rzekł do siebie — ja prosty kupczyk, a ona jaśnie wielmożna... nibyśmy to kuzyni... tak... przyznaję się do tego, bo Narcyz chciał mi być wdzięcznym... nie!... co mi się znowu przyśniło!...

Wyszedł i myśl o Ninie nie dawała mu spokoju.

— Obraziłem ją wyraźnie... czem?... jak mi Bóg miły tak nie wiem!... wszakże się sama oświadczała z przyjaźnią, sama mówić mi kazała i sama zwierzeń pragnęła... Nie rozumiem jej!... To pewne, że do pałacu Pogromskich, oprócz apartamentu samego barona, nie miałbym już po co przychodzić.

W godzinę potem — najpoczciwszy człowiek jest do pewnego stopnia samolubem — Emil, ten śmieszny Emil, który szukał konsekwencji i szczerości w kobiecie, mającej być tylko przyjaciółką a nie kochanką, nie myślał już o Ninie, nie robił rachunku sumienia czy i czem mógł ją obrazić, ale pisząc listy do różnych domów zagranicznych, od czasu do czasu w środkach perjodu, a niekiedy nawet w środku wyrazu, kładł pióro za ucho, zapominał co robi i powtarzał sobie:

— Natalja mnie kocha!...

Myśli Natalji rzeczywiście nim tylko w tej chwili były zajęte, dzięki szczególnie matce, która od powrotu do domu o nim tylko jedynaczce swojej mówiła.

Nazajutrz i dni następnych codzień bardziej zbliżała się chwila, której początek stosunku kupczyka z poetką bynajmniej nie zdawał się zapowiadać.

Jednego dnia baron przyszedł do Emila na ową wizytę kontrolerską, która się z czasem w perjodyczną i stałą zamieniła i dowiedział się wielkiej nowiny.

Emil tak doń przemówił:

— Panie baronie, jesteś moim dobrodziejem...

— Oh! oh! — przerwał baron dla ceremonji, w istocie bowiem nie był tak daleki m od myśli, że jego dobrodziejstwom Emil wszystko zawdzięcza, i że oprócz grubych zysków jeszcze wdzięczność mu się należy za to, że pod firmą Emila i dzięki jego głowie jedynie, wyborne robił interesa.

—Nie mam zwyczaju—kończył Emil— często mówić panu baronowi, żeś mi wyświadczył dobrodziejstwo, bo wiem, że tego nie lubisz, są jednak chwile, w których inaczej mówić niepodobna. W jednej z takich ważnych chwil jestem właśnie...

— No, no, cóż to takiego?...

—Jako dobrodziejowi mojemu winienem się opowiedzieć, że przystępuję do ważniejszego aktu mojego życia...

— A! a! chcesz się ożenić?...

— Tak jest, panie baronie.

— Z kimże to?...

Rzewnicki wymienił nazwisko.

— Balska... Balska... nie słyszałem .. czy bogata?...

Ten sposób wyrażania się urażał Emila, powstrzymywał jednak gniew i sobie tylko robił wyrzuty, że przed człowiekiem obojętnym, przed prostym wspólnikiem handlowym, którego z nim żadne inne węzły oprócz pieniężnych nie łączyły, spowiada się z tego co bynajmniej nie należało do spółki.

— Nie pytałem się o to — odrzekł ozięble — o ile mi wiadomo, biedna.

— A! to źle, panie Emilu — skrzywił się Pogromski — daruj otwartość ale to bardzo źle... kupiec, człowiek obracający kapitałami, bankier, a zresztą finansista spekulant tak jak ty, głowa do interesów dzielna, powinien był sobie znaleźć coś posażnego... niechby krocie przybywały do kroci a biedne niech zostaną biednym.

— Sam nie jestem bogatym, jak panu baronowi zresztą wiadomo.

—Nie jesteś, ale będziesz... możesz być... uchodzisz wreszcie za bogatego... na taką wędkę najposażniejsza panna dałaby się złapać na pewno.

—Panie baronie... drogiem jest w życiu szczęście, a szczęścia na wędkę się nie łapie.

— A no, a no, rób jak chcesz, jeżeliś już zatonął tak daleko, że tego odwołać nie można...

— Gdyby nawet było można, nie uczyniłbym tego.

— No, no... nie mam nic przeciw temu — rzekł baron, który opowiedzenia się Emila widocznie brał za prośbę o pozwolenie i skrzywił się trochę, spostrzegając, że tak nie było— tylko powiedz mi przynajmniej, czy ta Balska szlachcianka, aby?

— O ile wiem... tak.

— O ile wiesz?... więc nie dowiadywałeś się napewno?...

Mówiąc to baron wzruszył ramionami, robiąc gest taki, jakby chciał powiedzieć:

— A to szczególny człowiek!... i o czem on u licha myślał, kiedy sobie upodobał tę Balską?...

— Nie, panie baronie... — wyszło mi to jakoś z pamięci — odrzekł nieco szyderczo Emil.

— To dziwna... jak ci mogło coś tak ważnego wyjść z pamięci, panie Emilu... jako przecież niby nasz kuzyn mógłbyś nam jeszcze jaką mieszczkę lub chłopkę wprowadzić do naszej familji... co do mnie, jako głowa rodziny, jabym na to nigdy nie przystał.

W Emilu krew zawrzała.

— Panie baronie — odparł gorączkowo — sam pan powiadasz, że jestem pańskim „niby kuzynkiem", to też brak pańskiego przyzwolenia miałbym prawo uważać za niby przeszkodę. . Wola moja...

— *Pardon, pardon, cher Emile* — przerwał baron, widząc, że Rzewnicki przewodzić nad sobą pod tym względem nie pozwala — a jaka to gorączka, jak się zaraz unosi!... radziłem ci po ojcowsku, według moich przekonań... nie chcesz słuchać, gniewasz się, nie mam prawa i przyjacielem twoim być nie przestanę. . owszem, żeń się, szczęścia ci życzę... *que ce soit même une paysanne, ça m'est égal...* przepraszam cię.

Na tem skończyła się rozmowa. Baron nie chciał zrywać z Emilem, z którego uniesienia poznał, że byłby gotów, gdyby się uczuł obrażonym, zerwać wszystkie stosunki, bodaj narażając swą przyszłość; Emil nie chciał zrywać z baronem, który bądźcobądź był główną i konieczną podstawą jego stanowiska. Obrażeni na siebie wzajem rozstali się jednakże w najlepszej komitywie, z wszelkiemi pozorami zgody, i z niepozorną wcale chęcią nienarażania przynajmniej tych pozorów na przyszłość.

Baron wyszedłszy rozmawiał z sobą:

— Tęga głowa, ale głupie serce... aj! jakie głupie!... Gdyby się był nie spieszył z jakąś niedorzeczną miłostką, byłby dostał za lat parę jaką miljonową kupcównę, albo jaką gołą hrabiankę. Ale co mi do tego?... ja tylko swoich pieniędzy patrzę... Jak się panicz ożeni, a pani, której się pewno roi, że mąż ma miljony, nagle zachoruje na manję wyrzucania pieniędzy przez okno, to będę wiedział jak położyć *veto* i jakim tonem krzyknąć na nich: hola!

W kilka tygodni potem, Emil, urządziwszy sobie mieszkanie niezbyt wystawnie i kosztownie, lecz z gustem, wygodą i elegancją odpowiednią swojemu bankierskiemu stanowisku, wprowadzał do niego Natalję, jako panią Emilowę Rzewnicką i rozpoczął się dla dwojga nowożeńców miesiąc miodowy.

VI.

Powiadają kroniki, że w dzień ślubu Emila i w wigilję tego dnia oraz nazajutrz, baronówna Nina była cierpiącą, nie wychodziła ze swego pokoju i nie pokazywała się nikomu.

Nie wiemy, ile w tem podaniu jest prawdy, niezawodnem jest przecież, że jeżeli baronówna chorowała, to w dosyć krótkim czasie przyszła do zdrowia.

Wiadomo nam najdowodniej, że na drugi dzień po obrzędzie ślubnym Rzewnickich, baronówna była w hotelu angielskim u swojej przyjaciółki hrabianki Niegolskiej, o której rękę, jak już wiemy, Narcyz konkurował na serjo, i że w pięknym apartamencie, który na pierwszem piętrze tego hotelu zajmowali hrabstwo z Galicji, nikt jej nie posądzał o zmartwienie lub o smutek.

W salonie hrabstwa Niegolskich rozmowa toczyła się częścią po galicyjsku, częścią po francusku.

Ponieważ oba te języki, a zwłaszcza pierwszy, mogą być niejednemu z czytelników nieznane, a przynajmniej niejeden nie miał sposobnoścі słyszeć ich mięszaniny, damy tu przeto maleńką jej próbkę aby dać możność sprawdzenia, jak to mile brzmieć musiała w murach Warszawy podobnie dystyngowana mowa.

— Maszerciu, *assevez-vous s'il vous plait*, bo mi *na nerwy daje* jak cię *widzę stać.*

W ten sposób ładna, choć cokolwiek za pulchna blondynka, o dosyć dużem i miłem oku, przypłowiałej cokolwiek barwy błękitnej dziedziczka imienia, fortuny i korony hrabiowskiej, już drugie pokolenie zostającej w rodzie, przywitała baronównę Pogromskę.

Nina podziękowała uśmiechem i zajęła miejsce.

— No cóż? zawsześ zachwycona Warszawą, *ma chere Fanny?* — spytała.

Panna Niegolska miała wyszukane imię, nazywała się Fanny, co znaczy że ją na chrzcie świętym poruczono niebiańskiej opiece świętej Franciszki Rzymianki.

— *Vous dites que je suis* zachwycona i *masz słusznie, ma chére Nini,* jestem *nią...* my galicjanki mamy czego wam Polkom pozazdrościć... nasz Lwów *avec son intolerable* Pełtew... to parwenjusz nadęty jak *macherzyna...*

— *Qu'est-ce que c'est que macherzyna?*

— *Voyons, chére Nini est-ce que l'on ne connait pas ça à Varsovie?...* Macherzyna to jest... zapomniałem jak po frarncusku *on le remplit d'air en soufflant...*

— Ah! ah! pęcherz!... *une vessie..*

— *C'est ça.. une vessie...* nasz Lwów *c'est une vessie...* a co Kraków to *szkandał... c'est si petit et si triste!* Warszawa to co innego...

Tu hrabianka Niegolska spostrzegła jednak, — może po ironicznym uśmiechu, jaki ten zachwyt nad swojskim grodem wywołał na usta jednego z przytomnych tej rozmowie paniczów, — że się nazbyt po parafjańsku, w sposób godny chyba Pokucianki, i to Pokucianki od samych Kut, zdradza z uwielbieniem dla nadwiślańskiego miasta.

— *Jednakowoż,* — poprawiła się — Warszawa, *quoique belle . je ne le conteste pas... względnie Wiednia* jest bardzo *pojedyncze* miasteczko.

Z deszczu pod rynnę!... Galicyjska hrabianka zdradziła się niechcący, że jej znajomość zagranicy nie sięga dalej jak do Wiednia, a zdradziła się tem niepotrzebniej, że faktycznie była w przelocie przez Europę kilka dni także w Paryżu, lecz nie poznała go dość dobrze, i jak większa część hrabianek Niegolskich, gdyby ją zapytano gdzie jest środek Europy, gdzie stolica cywilizowanego świata, gdzie królestwo mody i zbytku, byłaby odpowiedziała.

— *We Wiedniu.*

Żadna czystej krwi galicjanka nie wyrazi się inaczej o tym grodzie Mecce i Medynie galicjan, zkąd na Galicję płyną obfitym niewyczerpanym zdrojem, akcje towarzystw opartych na szwindlu, losy pożyczek loteryjnych, ustawy zmieniające ustawy, *cuszlagi* do dodatków od podatków i inne dary, mające w języku oficjalnym również harmonijne nazwiska.

Na wzmiankę o Wiedniu rozmowa stała się ogólniejszą, opowiadano sobie o nim, wychwalano go, wynoszono.

Towarzystwo niedługo pomnożyło się jeszcze bardziej Przybył Narcyz i wierny roli uznanego publicznie kankurenta, większą niż inni obecni liczbą komplementów obsypywał uroczą Fanny.

Za Narcyzem niedługo ukazał się Gustaw.

Nina widać polowała na spotkanie się z nim, bo gdy się ze wszystkiemi powitał i zbliżywszy się do niej zapytał o zdrowie, uśmiechnęła się do niego, wskazała mu miejsce obok siebie i w taki sposób zaczęła rozmowę:

— Żeby pana zobaczyć, panie Gustawie, niedosyć czekać u siebie cierpliwie... trzeba dobrze wiedzieć gdzie pana najłatwiej zastać można.

— A! pani! — z galanterją odpowiedział Dom Juan, — podobno po raz pierwszy w życiu przytrafia mi się to szczęście, że pani jesteś tak łaskawą choć przez grzeczność powiedzieć, że się pani cokolwiek nudziło bezemnie.

— Nie powiem, żebym się nudziła bez pana — odparła Nina, — ale mogłam pana potrzebować, mogłam mieć interes, a w każdym razie wolno mi było mieć pretensję, że pan tak rzadko przypominasz sobie o naszym domu.

— Gdyby nawet jedna z tych trzech przyczyn wywołała to zaszczytne dla mnie wyznanie, że mnie pani tutaj szukałaś, miałbym prawo być z niego dumnym; czy to będzie jakie zlecenie, czy żądanie, czy wreszcie sama pamięć, o tem, że tak rzadko bywam w domu państwa, jest to zawsze fawor, który od pani nie bardzo często mnie spotyka.

Ostrzedz winniśmy, że ta rozmowa w całości odbywała się po francusku, inaczej czytelnik niekoniecznieby uwierzył, że dalszy jej ciąg mógł być powiedzianym w salonie, w obec kółka osób, które na nią nie zważały, lecz przypadkiem uważać mogły i usłyszeć ją chociaż w części. W naszym języku nie wszystko powiedzieć można tak łatwo i tak gładko, z takiem ocaleniem konwenansów, z taką oszczędnością rumieńca, jak w nadsekwańskiem narzeczu.

— Pan się dziwisz, — odpowiedziała

*

Nina, — że ja dla pana jestem tak skąpą w fawory?...

— Nie dziwię się, bom na nie nie potrafił dotąd zasłużyć... ale że boleję nad tem... pani...

— Sam pan przyznajesz, żeś dotąd nie zasłużył, — roześmiała się baronówna, — otóż pierwszy i jedyny powód.

Pochyliła się cokolwiek ku niemu i rzekła ciszej:

— Powiedz mi pan czy się to godzi?... znasz mnie pan od tak dawna i ani razu nie powiedziałeś mi, że mnie kochasz..

Na takie *dictum*, od którego zwiędłyby uszy prafjanina, Gustaw uśmiechnął się znacząco i odpowiedział:

— Czekałem aż pani pójdziesz za mąż...

Nina paluszkiem pogroziła mu na nosku.

— Czy wiesz, panie Gustawie, że wtedy mogłabym...

Urwała.

— Mogłabyś pani?— podchwycił hrabia.

— Mogłabym naprzykład nie chcieć słuchać...

— Jeżelibym nie umiał na to zasłużyć, pani, — odparł Gustaw, — pojmuję... ale całem mojem zadaniem będzie starać się o to i położyć pewne zasługi.

— A cóżbyś, hrabio, powiedział, gdybym panu położenie podobnych zasług ułatwiła?...

Gustaw spojrzał na nią z uśmiechem.

— Baronówno, — rzekł znacząco, — *ça me donne à réflechir..* — podobne słowa w ustach osoby nie mającej jeszcze narzeczonego, a nawet prawdopodobnie nie wiedzącej jeszcze jakie nosić będzie nazwisko...

— *C'est vrai*, — odpowiedziała figlarnie Nina. — Jeżeli się zakocham w moim przyszłym mężu, w takim razie choćbyś, hrabio, największe położył zasługi, nie słuchałabym pana bynajmniej i... nie dotrzymałabym słowa. Lecz, jeżeli będzie przeciwnie... *ce qui est bien plus probable...*

— Prawda, że to daleko prawdopodobniejsze w naszym świecie, — przyznał hrabia, — dlatego... warto zaryzykować tę zasługę!

— To prawda... zwłaszcza, że gdybyś pan teraz nie zaryzykował, jużby potem ryzyko na nic się nie zdało, a w każdym razie nie obeszłoby się bez ryzykowania czegoś...

Czytelnik nie spodziewał się może takiego zepsucia w pięknej Ninie, i nie chce wierzyć w prawdopodobieństwo tej rozmowy, a jednak... jest ona prawdziwą. Materjału do wykształcenia się w teorji takiego postępowania dostarczały Ninie salonowe rozmowy, prowadzone w języku francuskim, z któremi nie tajono się przed nią, nie zamykano na cztery klucze. Do przyprowadzenia teorji w praktykę dała jej bodźca najdzielniejsza podnieta, — uczucie zemsty, zazdrość, zawiedziona miłość. Zresztą, jeżeli dobrze znamy głąb jej myśli, nie posądzamy jej, aby brała zanadto serjo przyjmowane w ten sposób zobowiązanie, chciała tylko zrobić sobie narzędzie do swojego celu z Gustawa, ale sama szczerze mu wyznawała, że nie byłoby jej trudno nie dotrzymać słowa.

— Jestem na pani rozkazy,—z grzecznym ukłonem odrzekł Gustaw, — co mam zrobić i kiedy?

— Pan znasz pana Emila Rzewnickiego?

— *Cet épicier*, — odpowiedział z grymasem hrabia, — *ah! oui, il est mon fournisseur, je crois...* poleciłem u niego kupować wszystko i sądzę, że zastosowano się do tego.

— Najprzód nie jest tylko kupcem, ale zarazem bankierem... a powtóre, nie idzie tu o kupowanie towarów... nie chciej pan być zbyt domyślnym, bo zaręczam, że nie odgadniesz.

— Widzę że mi domyślność dziś nie dopisuje, dlatego czekam wyraźnego zlecenia, ubolewając nad tem, żem nie potrafił uprzedzić życzenia pani.

— Sam się pan zaraz przekonasz, że go uprzedzić nie było podobna, — z uśmiechem odrzekła Nina, — a nawet wątpię czy pan prędko będzie mógł dokonać zadania... Ale słuchaj pan...

— Jestem w tej chwili cały tym z pięciu zmysłów, którego usług pani żądać raczysz...

Nina spojrzała na niego śmiało, jakby go mierzyła wzrokiem, potem jednak spuściła oczy i cichszym już głosem wyrzekła:

— Powiadają o panu, że żadna kobieta zamężna oprzeć się panu nie zdoła. Nie wiem czy słusznie, ale masz pan taką opinję.

— Nad zasługi, pani, nad zasługi, — odparł Gustaw, z miną okazującą, że odgrywa skromność.

— A więc... — rzekła ciszej jeszcze Nina, nie podnosząc oczu, z żywym rumieńcem, który nagle oblał jej twarz, — *monsieur Rzewnicki vient de se marier... qu'il soit convaincu de votre puissance..*

Język nasz jest bogaty, to samo zdanie mógłby oddać najdoskonalej, dosyć byłoby na to przetłómaczyć wyrażenie francuskie, wątpimy jednak, czy zazdrosna i mściwa baronówna nie wzdrygnęłaby się na samą myśl powiedzenia Gustawowi po polsku:

— Jesteś pan podbójcą serc, potężnym dom Juanem salonowym... pan Rzewnicki się żeni, niechże go pan przekona o swojej potędze.

Po francusku nie brzmiało to tak rażąco, a jednak nawet po francusku było tak śmiałem i niezwyczajnem, że Gustaw zadziwił się i zdumiał.

— Pani, — rzekł, — to co mi pani mówisz, jest dla mnie tak niespodziewanem i nowem...

— Wiedziałam o tem, hrabio, — uśmiechnęła się Nina, której pomięszanie chwilowe, gdy wymówiła *le mot de l'affaire*, przeminęło.

— Że doprawdy, — dokończył Gustaw, — trudno mi odgadnąć przyczynę, która panią skłania do podobnej zemsty nad panem Rzewnickim... bo, że to jest zemsta, nie wątpię...

Przeminęło pomięszanie, ale inne gwałtowniejsze uczucie ogarniało Ninę.

— Nie badaj pan przyczyny, — rzekła z widocznem rozdrażnieniem, — a gdybyś ją pan nawet odgadł, nie mów mi o niej, bo ja o niej szłyszeć nie chcę...

Mówiąc to mięła konwulsyjnie chusteczkę.

Gustaw nie nalegał naturalnie.

— Tak dalece nie jestem *au courant* tego co się dzieje w pewnych sferach, — rzekł po niejakiej chwili, — że nie potrafiłbym powiedzieć, która szczęśliwa śmiertelniczka została panią Rzewnicką...

— Oh! nie bój się pan... ma być podobno bardzo piękną... a nawet nie tak bardzo panu nieznajomą... *Mais, avant tout...* czy pan przyjmujesz rolę, czy też powątpiewasz o sobie?..

— Przyjmuję, pani... — zgodził się bez wahania Gustaw, — *une épicière ça n,est pas difficile*, — dodał półgłosem.

— A więc panią Rzewnicką jest dziś niejaka panna Natalja z domu Bolska, Balska czy Bulska... *vous le savez mieux que moi..*

Gustaw nie mógł się wstrzymać od wykrzyknika:

— A!...

Nina podpatrywała jego wrażenie i to jakiego doświadczył, uznała widać za korzystne dla siebie, bo w przecudnym uśmiechu pokazała hrabiemu dwa rzędy pięknych ząbków i rzekła:

— Liczyłam na to, że *ci-devant* panna Balska nie jest tak bardzo obojętną dla pana i dlatego pana obrałam bohaterem tej małej salonowej komedji. Spodziewam się, że ją pan wybornie odegrasz, inaczej zwątpię o słuszności pańskiej opinji.

Ukłoniła mu się wesoło, wstała z krzesła i podbiegłszy do Fanny zaczęła się żegnać z nią serdecznie.

Hrabia Gustaw zadumał się nad rolą, jaką zbyt może pochopnie przyjął na siebie.

— Djablo niemiła sprawa. — myślał,— ale słowo się rzekło i cofać się trudno .. baronówna widocznie zawróciła sobie głowę tym przeklętym Rzewnickim, którego fatalność postawiła na mojej drodze, i chce się zemścić na nim, za to, że nią pogardził i mieszczankę zaślubił... Najłagodniejsza kobieta jest straszną kiedy się mści .. bo zemsta jest uczuciem specjalnie kobiecem... Panna Nina, jeżeli nie będzie mogła pomścić się na nim, to się mścić będzie na mnie, a nietrudno jej będzie o sposobność!... Widocznie wie o wszystkiem co zaszło między mną i Natalją... dała mi to wyraźnie do z rozumienia... *Je suis pris!..*, *ma reputation est engagée...* trzeba się decydować na wszystko.

Stało się według życzenia pięknej Niny... jakkolwiek nie bez pewnej walki wewnętrznej, hrabia Gustaw przyjął jednak wyzwanie.

(C. d. n.)

KORESPONDENCJE.

Genewa, 4 lipca 1879 r.

(*Kosmopolityczny zakątek Szwajcarji. Elizeusz Réclus. Jego geografja. Stanowisko szwajcarskiego narodu w cywilizacji europejskiej Namiętność gór. Odosobnione położenie Szwajcarji i rychła zmiana pod tym względem. Szwajcarja w XVIII stul. Dzisiejsza jej oświata. Trudność uniknięcia błędów w opisie etnograficznych stosunków. Księstwo Cieszyńskie i Waserpolacy. Mazury i rzeź w tarnowskim obwodzie. Najwięcej zacofanym krajem — Galicja. Pruska Polska. Litwini. Polacy pod zaborem pruskim. Potrzeba prawdziwie naukowej geografji ziem polskich. Francuska geograficzna literatura. Czasopisma. Słownik geograficzny. Nowe książki. Geograficzne stowarzyszenia*).

„Bogaci cudzoziemcy, Anglicy, Rosjanie, Amerykanie, Francuzi — powiada Elizeusz Réclus w swojej geografji — przyczynili się do zamożności hotelowych miasteczek, Montreux,

Clarens, Vevey, które wkrótce utworzą jedno większe miasto na północnem wybrzeżu jeziora Lemańskiego, naprzeciw ujścia Rodanu walliskiego. Piękne, okazałe jezioro i otaczające góry, które w nim przeglądają się; Dent du Midi, iskrzący się w promieniach zachodniego słońca; klimat łagodniejszy aniżeli w innych sąsiednich krajach uczyniły z tego zacisznego kątka Szwajcarji jedno z najulubieńszych miejsc dla podróżników, jedno z miejsc, w którem oni najdłużej zatrzymują się: przez ludność kosmopolityczną Montreux i Vevey stały się własnością rodzaju ludzkiego.“

W Vevey mieszka i sam Elizeusz Réclus. Skazany przez Wersalczyków na deportację, ocalał dla nauki, zawdzięczając tylko energicznemu wstawieniu się Wiktora Hugo. Thiers zamienił deportację na proste wygnanie z kraju. W zeszłym roku podczas wystawy paryskiej Geograficzne Towarzystwo zaprosiło Réclus'a, aby przyjechał do Paryża i przyjął udział w jego kongresie. Zaproszenie podpisał sam Mac-Mahon. Znakomity geograf, dziękując Towarzystwu za cześć mu okazaną, odpisał, że wróci do Paryża tylko wraz ze wszystkimi swojemi towarzyszami niedoli. Teraz Réclus został objęty amnestją, lecz postanowił nie wracać, dopóki amnestja nie będzie powszechną dla komunarów.

Geografja powszechna Réclus'a wychodzi miesięcznemi zeszytami nakładem księgarni Hachette et Comp. Wyszło już cztery tomy, teraz wychodzi piąty. Corocznie Réclus robi wycieczkę geograficzną, w tym roku był w Szwecji; następnie wraca i pisze, posługując się literaturą geograficzną, własnemi spostrzeżeniami, nadsyłanemi notatami i uwagami licznych przyjaciół, z którymi pozostaje w stosunkach. Szwajcarzy, zwłaszcza robotnicy, bardzo go lubią. Réclus ożeniony jest z Kreolką i ma dwoje dzieci. Jest nadzwyczaj ruchliwy. Często przemawia na socjalistycznych zgromadzeniach, gdzie słynie ze swego obrazowego przedstawiania rzeczy. Jedno z jego przemówień ostatnich w sprawie kary śmierci wyszło oddzielną broszurką: *La peine de mort*. Jest to najlepsza popularna rozprawka w tym przedmiocie. Kosztuje wszystkiego 10 centimów (5 centów).

Trzeci tom geografji Réclus'a (Nouvelle Géographie Universelle. La terre et les hommes. III. L'Europe Centrale. Paris. 1878.), z którego chcę zdać szczegółową sprawę, obejmuje: Szwajcarję, Austro-Węgry i Niemcy.

Geografja Réclus'a nie jest martwym opisem lub suchem nagromadzeniem faktów, lecz wzorzystym obrazem tego, co dzisiaj widzimy, i żywą opowieścią, jak to wszystko wytwarzało się, jakim zmianom to ulega i jak się przeobrazi w przyszłości. Nie jednostronnie uczonego erudyta mamy przed sobą, lecz człowieka wszechstronnie wykształconego i żywo interesującego się sprawami ludzkiemi. Autor nie tylko posługuje się wynikami wiedzy geologicznej, etnograficznej, historycznej, artystycznej, filologicznej, ale szuka wskazówek, zwłaszcza co do przyszłych zmian, nawet u inżynierów i polityków.

Szwajcarja, której dokładne poznanie sam los ułatwił Réclusowi, opracowana jest con amore. „Szwajcarja — powiada Réclus — jest to kraj, który należy najwięcej studjować z powodu historji jej mieszkańców, jej politycznych instytucji i ugrupowania się narodowości, które ją składają. Wskutek geograficznego położenia, losy jej wielce się różniły w biegu wieków od losu krain, które opierają się o jej góry, Włoch, Francji, Niemiec. Różne jej ludy mogły lepiej od mieszkających na równinie zachować dawne swoje tradycje i obyczaje, a równocześnie, dzięki większej politycznej wolności i większemu zakresowi miejscowego samodzielnego działania, umiały się postawić w rzędzie najzamożniejszych i najoświeceńszych ludów Europy. Szwajcarski naród — jak świadczy statystyka — pod wielu względami zajmuje pierwsze miejsce pomiędzy cywilizowanemi narodami. Geografja powinna dopomódz historji do wykazania przyczyn tej przewagi“.

Szwajcarja, lubo znajduje się w środku Europy, na punkcie zetknięcia się trzech narodów: niemieckiego, francuskiego i włoskiego, odgrodzoną jednak swemi górami, stała i jeszcze dotąd stoi jakby na uboczu całej Europy. Do połowy XVIII stulecia omijano ją; mało który z podróżników odważał się puszczać po jej stromych i urwistych drogach, mało kogo nęciły jej wspaniałe wprawdzie, ale surowe klimatem i niebezpieczne przepaściami, wylewami, lodozwałami krajobrazy. Pod tym względem ogromna zaszła zmiana. Dzisiaj Szwajcarja ze wszystkich krajów najwięcej ściąga turystów. Nowa — jak powiada Réclus — zrodziła się pomiędzy ludźmi namiętność, *namiętność do gór*. Tam gdzie dawniej orły tylko szybowały, dzisiaj wznoszą się kominy pięknych i wygodnych hoteli; tam gdzie dawniej prowadziła zaledwie udeptana ścieżyna, dzisiaj z gwizdem przesuwa się lokomotywa. Jednych wspaniałe widoki pociągają ku sobie, drudzy spieszą dla zdrowia. Czyste i lekkie górskie powietrze jest znakomitem lekarstwem. Doświadczenie pokazało, że zwłaszcza pomocnem jest na suchoty. Setki więc chorujących na gruźlicę przepędzają zimę w wioskach doliny Gryzonów, Davos, wśród śniegów i lodów na wysokości 1550 metrów.

Odosobnione i idosobniające położenie Szwajcarji nie długo trwać będzie. Prawdopodobnie już w przyszłym roku tunel św. Gotharda stworzy najprostszą drogę z Niemiec do Włoch. Zapewne wkrótce przystąpią do otwarcia najbliższej tej bramy pomiędzy Francją i Włochami, bramy zamkniętej dzisiaj górą Simplon. Inżynierowie zbadali już, w którem miejscu ma być przeprowadzony tunel. Jedno z najwięcej zdumiewających przedsiębiorstw sztuki nowoczesnej, tunel św. Gotharda, ma mieć długości 14920 metrów, tunel Simplonu jeszcze dłuższy będzie: 18743 metrów.

Odosobnione i obwarowane górami położenie Szwajcarji ocaliło ją od chciwości sąsiadów i pozwoliło jej bezpiecznie wyrobić w sobie ustrój polityczny i społeczny, bezprzecznie dzisiaj najlepszy w Europie. A wszakże i ona jak i Polska w XVIII stul. była pewną anomalją wśród biurokratyczno-militarnych monarchij. I w niej pełno było nadużyć politycznych i społecznych. Poddaństwo w Solurze zniesionem zostało dopiero w 1782 r. W wielu miejscach miasta panowały nad wioskami, a w miastach tylko niewielka liczba bogatych rodzin trzymała w swem ręku władzę. Jezuici jeszcze dzisiaj są potężni w kantonach katolickich, a w XVIII stul. wszechwładnie nad szkołami i sumieniem mieszkńców panowali.

Nie tylko pod względem wolności, ale i pod względem oświaty Szwajcarja zajmuje najpierwsze miejsce w Europie. W większej części kantonów wszystkie dzieci chodzą do szkół. Po wioskach najpiękniejszemi gmachami są szkoły, a po wielu miastach zakłady naukowe, to prawdziwe pałace. Nauczyciele i profesorowie są lepiej uposażeni aniżeli w innych krajach i cieszą się większem poważaniem. Nauczyciel szkoły elementarnej pobiera w mieście Zürichu od 2300 do 3500 franków pensji rocznej, w kantonie zürichskim ma 1200 fr. i mieszkanie. Umysłowa działalność jest większa w Szwajcarji, aniżeli w sąsiednich krajach, jak to świadczy liczba wychodzących książek i dzienników, bibljotek, czytelni, naukowych stowarzyszeń, przesyłanych listów, telegramów i dzienników. W 1875 r. przesłano przez pocztę 48 miljonów dzienników.

W geografji państwa austrjackiego objęta jest geografja Galicji i księztwa Cieszyńskiego. W tej pracy dopomagał autorowi p. Izydor Dzieduszycki swojemi notatami. W opisie samej ziemi autor zawsze celuje naukowym, treściwym i pięknym wykładem. Osobista obserwacja potrzebna tu była tylko dla nadania wiernego i żywego kolorytu obrazowi, który sam się wyłaniał z nagromadzonego naukowego materjału. Rzecz trudniejsza z miejscowemi stosunkami ludności. Pisemne dokumenty nieraz bywają nacechowane uprzedzeniem lub nieprzyjaźnią; wiadomości, czerpane z rozmów i opowiadania, często niedokładne; a osobiste spostrzeżenie, aby nie wprowadzało w błąd, wymaga dłuższego pobytu pomiędzy mieszkańcami i bliższego z nimi poznania się. Autor sam to dobrze rozumiał, że praca jego nie może uniknąć pomyłek, i dlatego na końcu książki najmocniej dziękuje tym, co wytykali mu błędy. (C. d. n.)

Kronika tygodniowa.

(W.) Cisza we Lwowie jakby kto nas makiem zasiał. O słocie już się nie mówi, bo w tym roku przyzwyczailiśmy się do niej jak do konstytucji austrjackiej, nad którą, ma się rozumieć nad słotą, już nikt nie ubolewa, przyjmują ją jako złe konieczne, jako sól w oku, kolkę w boku i tym podobne przyjemności przez nieboszczyka Pola wygłoszone. Dzienniki nasze również zachorowały na słotę polityczną i nie mogą zebrać pogodnie siana skoszonego podczas ostatnich wyborów. Idzie im o napisanie regulaminu wyborczego dla przyszłych komitetów wyborczych, idzie im o umizgi do Czechów, aby ich na nasze kopyto przerobić. Szczęściem, że te umizgi nie dotyczą pań Czeskich, które jak wiadomo nie grzeszą zbytnią urodą, inaczej małżonki nasze wystąpiłyby z energiczną opozycją przeciw takim umizgom, już nie z zasady, ale z oburzenia na zły gust swoich mężów. Tymczasem przy znanem usposobieniu Czechów do muzyki, jest nadzieja że stworzymy sobie w Wiedniu taką autonomiczną harmonję, przed którą w kąt pójdzie nasza harmonja Lwowa z Krakowem. Szczęśliwą bo też wytworzyliśmy sobie pozycją wskutek ostatnich wyborów! Moskale zlękli się naszej przewagi i dalejże na gwałt umizgać się znów do Polaków. Najprzód zastrzelili na złość Niemcom niejakiego Beusta politycznego aresztanta w cytadeli, i to kto wie czy nie dlatego, że tak samo nazywa się jeden z byłych ministrów austrjackich. Dalej z przyczyny niemieckiego nazwiska Kocebuego jenerał-gubernatora, usuwają go z Warszawy, a na jego miejsce dają coś lepszego niż Polaka na namiestnika, bo samego W.

księcia Michała Mikołajewicza, cywilizatora Kaukazu, który tak znakomicie potrafił uporać się z buntowniczymi goralami, przesiedlając ich z południa na północ.

Takie próby aklimatyzacyjne podobno udały się przewybornie, transporta Gruzyjców i Abhazów idą do Archangielska z wielką ochotą i jeżeli mrą jak muchy w drodze, to tylko z wdzięczności. Mieszkańcy Warszawy będą mogli chodzić bez latarek po mieście w dnie księżycowe, z dziesięciu gubernii zrobi się znowu pięć... a te i tym podobne łaski muszą przebić twardą skorupę niewdzięczności otaczającą serca polskie i odciągnąć jej wzrok od krajów będących pod panowaniem austrjackiem.

Ze strony Niemców spodziewamy się równegoż na złość Moskalom oddziaływania. Razem z Czechami weźmiemy wszystko w ręce, dwóch Polaków osadzimy na krzesłach ministerjalnych i wyciągniemy groźną rękę na Wschód i południe sprowadzając punkt ciężkości z całej Kongresówki do Lwowa.

Postępując krok za krokiem w takiej rywalizacji, przyjaciele nasi dójdą do tego, co dwaj obywatele ziemscy mający dwie karczmy na pograniczu. Kiedy jeden dla przyciągnięcia gości zniżył cenę kwaterki wódki na dwa grosze, drugi na grosz. Pierwszy tedy ogłosił że daje darmo — sąsiad aby go dobić dawał darmo i jeszcze w dodatku obwarzanek. A my wśród takiej szczęśliwości będziemy sobie patrzeć na takie zapasy przyjaciół naszych, i podkręcać będziemy wąsa i popuszczać pasa, choć pszenica i żyto gnije na garściach. Furda pszenica, wobec polityki.

Już to jak nam się wieść zaczyna, to idzie powodzenie to coraz wyżej. Doczekaliśmy się podług „Czasu“ sześćdziesięciu trzech wielkich mężów, których życiorysy ten potentat krakowski ogłasza, a których brakuje tylko portretów, aby lud wiejski mógł sobie w ramki ich poprawiać obok Kościuszki. A są pomiędzy nimi tacy, których *pióra przemieniają się w piłę, kiedy idzie o przeprowadzenie myśli politycznej żelaznej konsekwencji.* Otóż ta piła nie bardzo przyjemne sprawia wrażenie, zwłaszcza jeżeli nie jest wyostrzona, i tak na tępo piłuje cierpliwość słuchaczy... Na polu malarstwa trzymamy prym na wystawie Monachijskiej. Semiradzki i Brand zbierają laury, Niemców trudno odpędzić od owej „kobiety czy wazy“ i od Bitwy pod Martynowem... Dzięki Bogu i za to.

Tu znowu Galicjanin pan Liwczak, profesor mechaniki w gimnazjum Wileńskim, wynalazł maszynę drukarską, która jeżeli się na próbach w Warszawie odbywanych nie pokpi, sprawi rewolucję między drukarniami. Za pomocą małego kółka obsadzonego stalowemi czcionkami, wyciska ona bardzo szybko, bo 100 liter na minutę odpowiednie znaki w masie dającej matryce steoretypowe, matryce trwałe i tanie. Tym sposobem, jeden alfabet wystarcza na wszelkie druki, a zecer siedzi sobie najwygodniej w fotelu i macha korbą w różne strony, korekta również ma być łatwą i może ją robić nawet taki uczony, który czytać nie umie.

Drugie również ważne ulepszenie dokonano w tych czasach wprawdzie nie u nas, ale we Włoszech przez p. Sabattuci'ego, któremu się udało pochwycić drgania mikrofonu w pewne oznaczone znaki odbijające się na papierze. Telefon zatem wejdzie w użycie i zastąpi depesze telegraficzne, gdyż głos ludzki będzie mógł wytwarzać pismo i szyfrować je w depesze, czego brak dotąd nie pozwolił zaprowadzenia telefonów.

W końcu donieść musimy czytelnikom, że w Iwoniczu za staraniem i inicjatywą młodego poety naszego, p. Władysława Bełzy, urządzoną była uroczystość na uczczenie p. Napoleona Ordy, wydawcy albumu krajowych pamiątek. Żałujemy, że brak miejsca nie pozwala nam przytoczyć kilku strofek ułożonych na obchód ten przez p. Bełzę, któremu udało się chwycić za serce i łzy nawet wycisnąć szanownemu zbieraczowi widoków miejsc pamiętnych w dziejach przeszłości naszej. Zabawa się udała, bo prawie wszyscy goście przebywający w Iwoniczu brali w niej udział, a nawet piękne damy zasiadły galerje w sali, gdzie uczta miała miejsce.

* * *

(A.) Już od czwartku przed Grünwaldem Matejki przesuwa się liczna publiczność. Wielka i uroczysta chwila dziejowa oddana najpotężniejszym pędzlem naszego kraju robi podniosłe i silne wrażenie.

Dziś w malarstwie same pieszczone pędzle, w poezji pieszczone głosy, w rzeźbie dłuto prowadzone zniewieściałą ręką.... To też gdy się ukaże silna dłoń męzka i silnie zagra na duszy, gdy ujrzysz te pięści i te miecze, zawieruchę wojenną, ten szelest kopij i ryk dziczy i tę dawną wielkość, to ci się mimowoli oko zaiskrzy i nie będziesz stał przed obrazem, w którym mimo całego mistrzostwa dość usterek się znajdzie, ale ta moc przygniecie cię jakby jakieś jasne widowisko senne, które cię przeniosło w te bohaterskie czasy.

Nasze młode i drobne pokolenie mimowoli patrząc na to i wspominając o obecnych smutnych losach szuka rękojeści karabeli a ściska natomiast rączki od szpicrut i parasoli... Co za antyteza tych ramion bohaterskich i tych wątłych postaci, hełmów wobec tych welonów, holangi wobec czarnych tużurków!

Od Michała Anioła w rzeźbie, nikt nie zdołał wlać w postacie tyle siły męzkiej, tyle dzielności i tyle myśli.

* * *

(A.) W niedzielę o godzinie 11-tej odbyło się w tutejszej świątyni izraelickiej żałobne nabożeństwo za duszę tak przedwcześnie dla sztuki zmarłego Gottlieba.

W świątyni zebrało się oprócz izraelitów liczne grono chrześcian reprezentantów sztuki i nauki. Na balkonach obok twarzyczek wschodnich przypominających urocze typy Gottlieba widzieliśmy i chrześcianki. Było coś podniosłego w tej ciszy i w tej powadze, która w domu Bożym panowała i szczery smutek bił ze wszystkich twarzy.

Wspaniałe nabożeństwo, gorąca i świetna mowa Rabbiego, dzięki pysznego głosu z towarzyszeniem smętnych chórów nastroiły wszystkich do wspomnień, i szczerego żalu za tym bujnym kwiatem wschodu, który urósł na naszej ziemi, rozwinął się i uwiądł na początku sławy. Oby miał w szczepie swoim następców.

* * *

(B) Podajemy czytelnikom małą próbkę zdolności — okazanej w tych dniach przez krytyków Warszawskich. Oceniając komedję Michała Bałuckiego p. t. Krewniaki, premiowaną na ostatnim konkursie krakowskim — pisze *Kurjer Warszawski.*

„Śmiało powiedzieć możemy, że tym razem autor „Krewniaków“ szturmem wziął całą publiczność i krytykę.

„Dowiódł on, że nie ma tematów starych dla prawdziwego talentu, że nie ma sytuacyj wyczerpanych dla zręcznego i pomysłowego komedjopisarza, że do stworzenia dobrej polskiej komedji oryginalnej nie potrzeba koniecznie szukać jakichś anomalij serca i umysłu, jakichś zawikłanych intryg à la Sardou, jakichś nadzwyczajnych typów, którychby dopiero w naszem i powszedniem życiu ze świecą szukać należało.

„Już sam tytuł: „Krewniaki“ powiada, iż autor miał do czynienia z materjałem nie nowym, opracowanym tylekrotnie przez naszych i obcych pisarzy.

„A przecież mimo to wszystko, ile jeszcze oryginalności i świeżości nadać potrafił temu zużytemu tematowi; prawieby się uwierzyć nie chciało idąc do teatru, że można jeszcze do tego stopnia wyzyskać te stosunki familijne, najpospolitsze w życiu: stosunki uboższych krewnych do bogatszych i wpływowych.

„Nie myślimy opowiadać treści, która w „Krewniakach“ nie stoi na pierwszym planie, jako w komedji typów, *par excellence* wyrzeźbionych, z całą naturalną plastyką i prawdą życiową: nigdzie też Bałucki nie okazał się takim obserwatorem życia i takim mistrzem techniki na scenie, jak w tej ostatniej komedji, która jemu i naszej literaturze dramatycznej zaszczyt przynosi.

„Ile zdrowego humoru, ile komizmu nie w słowach, ale w całych sytuacjach wybornie ułożonych. ile miary w rozłożeniu tego komizmu, aby nie wpadł w karykaturalność i przesadę, jaki ruch ciągły na scenie, ile pokonanych trudności w scenach zbiorowych, które prawie całą sztukę zapełniają — opowiedzieć trudno, trzeba to na własne zobaczyć oczy.“

Po temże samem przedstawieniu tej sztuki pisze *Gazeta Polska:*

„Niewolno jest wytartych kopii ze znanych do syta sztuk (głównie z „Naszych najserdeczniejszych“) nazywać typami, trywialnych i niesmacznych konceptów dowcipem, hałasu awanturniczego bez wszelkiego organicznego związku z akcją, a nicości przedmiotu, wybornie obranym tematem. Nie wolno nam twierdzić, że autor przewyższył siebie, gdy z jego przeszłości znamy stokroć lepszych „Radców pana radcy“. Nie wolno nam kuć frazesów nieszczerych, wprowadzających w błąd w najwyższym stopniu czytelników, gdy rzecz sama niema wartości, ani jako sztuka sceniczna, ani jako utwór literacki. Widzowie ze zdziwieniem spoglądali na siebie, bo, przeczytawszy po przedwczorajszem przedstawieniu, że tu humoru i wesołości co niemiara, chcieli się śmiać a nie mogli — chcieli gwałtem uwierzyć w rzeczywistość tych figur i w prawdę tego, co one mówią, a nie mogli, i, kiedy nareszcie w jedynym Tarapatkiewiczu dopatrzyli się człowieka, jacy się trafiają w życiu, to im wnet niesmaczny Adonis, jakaś najgorsza kopia Urbasia, jakieś stare plotkarki, wyrobione na fabrycznym warstacie, przypomnieli, że to tylko *robota*, że to blade odbicie teatralnego, ale nie rzeczywistego życia. Karykaturalność postaci, latanie bez wewnętrznej i psychologicznej przyczyny po scenie, nazwane akcją, brak wszelkiego

zajęcia, które byłoby zdolne przykuć na prawdę i pokryć tyle innych wad rażących, oto charakterystyczne cechy tej farsy, którą dobrze usposobieni sprawozdawcy przekazali w szumnych słowach do potomności."

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** Ateneum w zeszycie za m. lipiec r. b. zawiera: I. Koniec Radziejowskiego. II. Najznakomitsi komedjopisarze hiszpańscy, przez J. A. Święcickiego. III. Instytucje ziemskie w cesarstwie rossyjskiem, przez L. P. IV. Obyczaje ekonomiczne we Francji, przez Dra K. Waliszewskiego. V. Kasia i Marynka. z papierów pozostałych po Gabryelli. VI. Rozbiory i sprawozdania. VII. Kronika naukowa, przez Br. Abakanowicza. VIII. Kronika miesięczna.

*** Bibljoteka Warszawska w zeszycie za m. lipiec r. b. zawiera: I. Przemysł cukrowniczy w Kr. Polskiem, przez A. Wrotnowskiego. II. Cnota i występek, przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. III. Stosunek Władysława Jagiełły do Husytów czeskich, przez J. Sutowicza. IV. Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki od 1800 do 1830 r., przez K. Wł. Wojcickiego. V. Pamiętnik z lat młodych J. Słowackiego, przez S. Duchińską. VI. Akademja Mickiewicza w Bolonji. VII. Nirwana w obec metafizyki przez S. Smolikowskiego. VIII. Ruch literacki w Łużycach, przez A. J. Parczewskiego. IX. Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego. X. Wiadomości bieżące, literackie naukowe i artystyczne.

*** Dwutygodnik naukowy w zeszycie za m. lipiec r. b. zawiera: I. Przyczynek do zbioru przysłów, piosenek, ucinków i przypowieści przez J. Karłowicza. II. Teorja wpływów kultury fenickiej. III. Wiadomości numizmatyczne. IV. Posiedzenia Akademji i towarzystw naukowych. V. Wiadomości.

*** W Baden-Baden od 18 do 24 października r. b. odbywać się będą narady zgromadzenia niemieckich badaczów przyrody i lekarzy; zaś w dniach 25 do 28 t. m. obradować mają niemieccy geologowie.

*** Akademja francuska przyznała nagrodę Jana Reynaud (1000 fr.) autorowi „Córki Rolanda" Henrykowi Bornier.

Prasa perjodyczna.

*** Kurjer Warszawski otrzymał od redaktora czasopisma *Revue Slave* następujące pismo:

Szanowny redaktorze!

Revue Slave nie przestało wychodzić, jak to się niektórym podobało ogłosić; nie zostało też przeniesione, lecz pozostaje w Warszawie.

Ponieważ redaktor uważał za konieczne zmienić format, zmniejszyć cenę prenumeracyjną, oraz uzupełnić redakcję siłami, któreby odpowiadały dążeniom i kierunkom wszystkich słowian — co dotąd było nieco zaniedbywane — *Revue Slave* ukaże się przeto 1 października.

Opłata roczna wynosić będzie ośm rubli, a półrocznie 5 rubli; za granicą prenumerata wyniesie rocznie 22 franki, a półrocznie 15 franków.

Zobowiążesz mnie wielce, szanowny redaktorze, ogłoszeniem tego listu w twojem piśmie, przez co przeciętą zostanie droga wszelkim niekorzystnym dla mnie przypuszczeniom.

Racz przyjąć, szanowny redaktorze, wyrazy podziękowania. *Ach. Intering*, redaktor *Revue Slave.*

*** Wiedeński sąd karny skazał na kilkomiesięczne więzienie Brauna i Firsta, redaktorów czasopism wiedeńskich, oraz ich administratorów, oskarzonych o zbrodnię wymuszania pieniędzy; ofiarami byli przeważnie izraelici, którzy składali pieniądze za to, ażeby ich nie ogłaszano w gazetach jako lichwiarzy.

*** Gazeta *Ordre*, organ bonapartystyczny, wystawioną jest na sprzedaż.

*** Zażalenie nieważności, wniesione przez dziennik *Lanterne*, skazany w osobie żeranta za pomieszczenie artykułów wymierzonych przeciw prefekturze policji na trzy miesiące więzienia i 2,000 franków grzywny, zostało odrzucone przez trybunał apelacyjny.

*** Wieść o sprzedaży *Ajencji Havasa*, kilkakrotnie zaprzeczana, obecnie potwierdza się. Utworzony syndykat pokrył już cenę nabycia. Nowe towarzystwo utworzy się z kapitałem dziewięciu miljonów. Dwunastu dziennikarzy należy do administracji.

Sztuki piękne.

*** Donoszą nam z Monachjum, iż znane a wysokiej wartości płótno Siemiradzkiego „Waza czy kobieta" i „Rozbitek" oblegane są formalnie przez tłumy widzów.

Do pierwszego obrazu docisnąć się prawie niepodobna...

Pisma monachijskie wyrażają się bardzo przychylnie o pracach tego młodego naszego mistrza, a nawet berliński *Börs. Cour.*, który przecież nie słynie z przyjaźni dla nas, konstatuje, iż jedyną ozdobą i magnesem oddziału włoskiego są... obrazy Siemiradzkiego.

*** Wieść kilku pism o zakupieniu przez pana Gracjana Ungra wszystkich płócien bł. p. Maurycego Gotlieba jest niedokładną.

Pan U. podjął się tylko urządzenia ich wystawy i sprzedaży, celem podania szybkiej pomocy niezamożnemu ojcu artysty.

*** Widzieliśmy w tych dniach kilka początkowych prac p. Stanisława Lenca, Warszawianina, kształcącego się w krakowskiej szkole sztuk pięknych.

Wróżą one nowy talent na pełnej dziś kwiatów niwie malarskiej.

*** W Krakowie w połączeniu z tegoroczną wystawą prac uczniów szkoły sztuk pięknych odbędzie się wystawa szkiców Maurycego Gotlieba.

*** Słyszeliśmy pogłoskę, iż znany skrzypek p. Juljusz Auer, solista dworu petersburskiego, mianowany został dyrektorem konserwatorjum warszawskiego; pogłoskę tę powtarzamy z zastrzeżeniem.

*** Dwaj młodzi rodacy nasi, uczniowie wiedeńskiej akademji sztuk pięknych, odznaczeni zostali pierwszorzędnemi nagrodami, które przyznało im kolegjum profesorów dnia 21 lipca. Jan Styka, uczeń szkoły malarskiej ze Lwowa, otrzymał złoty medal z fundacji Függera za utwór na temat: „Odyssej z synami Antyloka wśród łowów na dziki." (Odyssesja, pieśń XVI). Tadeusz Błotnicki, ze Lwowa, uczeń specjalnej szkoły wyższego malarstwa profesora Zumbuscha, otrzymał premjum za wszystkie swe prace.

*** Przedstawicielem rządu francuskiego na wystawie sztuk pięknych w Monachjum został Georges Lafenestre, krytyk i urzędnik ministerjum sztuk pięknych.

*** W Ratysbonie w dniu 4 sierpnia zbierze się kongres wszystkich katolickich towarzystw śpiewu: na kongresie tym będzie dyskutowaną kwestja reformy muzyki w kościołach rzymsko-katolickich.

Teatr.

*** W Paryżu rozpoczęte zostały pod dyrekcją Vaucorbeila przedstawienia w Wielkiej operze. Dawano Halevy'ego „Żydówkę". Publiczność zebrała się liczna i doborowa. Dochód z przedstawienia prześcignął sumę 16,000 franków. Na przedstawieniu znajdował się też i prezydent rzeczpospolitej. Po pierwszym akcie kazał on powołać do siebie nowego dyrektora i wyrażając mu zupełne zadowolenie zapewniał go, iż pragnie aby teatr ten utrzymał się na stanowisku odpowiedniem.

*** Znany wydawca dzieł muzycznych Chaudens nabył partyturę najnowszej opery Gounoda „Le tribut de Zamora"; słynny kompozytor otrzyma za nią w dniu pierwszego przedstawienia 50,000 fr., przy 50-tem przedstawieniu 25,000 fr. i tyleż przy 75-tem przedstawieniu.

Szkoły.

*** W Syberji otwarty zostanie z przyszłym rokiem szkolnym pierwszy uniwersytet. Będzie on ufundowany w Tomsku. Otwarcie ma być bardzo uroczyste.

*** W roku bieżącym upłynął pięcioletni termin wyznaczony do zaprowadzenia bepłatnego nauczania początkowego w Szwajcarji; odtąd w szkołach szwajcarskich początkowych nie będzie pobierana żadna opłata.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Najnowszy numer „Ekonomisty" piękną przynosi nam wiadomość.

Oto jeden z powszechnie szanowanych, sędziwych naszych prałatów, pojmując całe znaczenie zachęty przemysłowej, postanowił zbyć swoją galerję obrazów, przeznaczając otrzymany ztąd fundusz na dwie nagrody.

Jedna z nich, w sumie 6.000 rs., ma być udzielona za praktyczne zastosowanie wody, jako źródła światła lub ciepła, na mocy własności składających ją gazów: tlenu i wodoru.

Termin rozwiązania zadania — lat dziesięć.

Druga nagroda, której wysokość i warunki bliżej nieoznaczone, zostanie wyznaczoną za udoskonalenie sposobów otrzymania aluminjum z gliny krajowej.

Metal ten znajduje się na całym niemal obszarze ziemi, a obok ciągłości, połysku, dźwięku i trwałości zbliżających go do szlachetnych kruszców, ma ciężar gatunkowy najbliższy szkła i porcelany, i dla tych właśnie przyczyn mógłby mieć niezmiernie szerokie zastosowanie.

Są to dwa pierwsze temata do konkursu...

„Ekonomista" wiadomość tę zaczerpał od samego ofiarodawcy.

Szczęść Boże uczciwej myśli!

*** Dziennik ateński „Neologos" donosi, iż Jerzy Domokaitis, bogaty kupiec w Chio, poczynił następujące wielkie legata: 700,000 franków dla króla helleńskiego z zastrzeżeniem, aby pieniądze użyto na cele filantropijne albo narodowe; 500,000 franków na założenie szpitala dla obłąkanych w Atenach; 300,000 franków dla gimnazjum greckiego w Chio; 130,000 franków dla szpitala w Chio; 60,000 franków dla domu sierot królowej Amalji w Atenach i 25,000 franków dla filantropijnego towarzystwa w Chio.

*** W Wiedniu sąd najwyższy, w skutek odwołania się jednego z wydalonych lichwiarzy, orzekł, iż wydalenie jest bezprawne, ponieważ stoi ono w sprzeczności z prawami zastrzeżonemi konstytucją.

*** W Wiedniu prawdziwie epidemicznie zaczynają występować samobójstwa; w dniu 22. lipca skonstatowano sześć zamachów samobójczych, z których dwa zakończone śmiercią.

*** Z Chin donoszą, iż srogy się tam znów głód. Głównie dotknięte są tą klęską północne prowincje Chin. Całe osady wymierają.

*** W Swansea w dniach 7., 8., 9. i 10. odbywać będzie narady dziewiętnasty kongres kościelny; przewodniczy biskup z St. David.

*** Mówią o rozesłaniu listu papiezkiego do wszystkich biskupów świata, polecającego wielką pielgrzymkę katolicką do Rzymu.

*** W Monsummano (Toskanja) odsłonięto posag Józefa Giusti, sławnego satyryka włoskiego. Posąg jest dłuta Fantacchiotti'ego. W imieniu parlamentu przemówił deputowany Pianciani.

*** W Ham odsłonięto posąg bronzowy, wystawiony ze składek narodowych jenerałowi Foy. Na domach powiewały trójkolorowe chorągwie. W uroczystości tej wzięło udział bardzo wiele znakomitych osób. Wieczorem dany był przez municypalność bankiet na 120 osób.

*** W Paryżu utworzył się komitet, mający się zająć wystawieniem drogą składek publicznych posągu dla Teofila Gautier'a.

*** W Moskwie z rozkazu jenerał-gubernatora moskiewskiego, księcia Dołgorukowa, wydalono z miasta 278 izraelitów, jako lichwiarzy lub trudniących się wypożyczaniem na zastawy; wydalonych odprowadzało wojsko za rogatki miejskie.

Wynalazki i odkrycia.

*** Na przestrzeni od Paryża do Brukselli będą robione próby z poczwórnym aparatem telegraficznym Edisona. Aparat ten umożliwia przesyłanie równocześnie czterech różnych depesz: dwóch w jednym kierunku i dwóch w drugim kierunku. Rządy francuski i belgijski zaprosiły dra Korneljusza Herza do ustawienia tego aparatu, celem jak najwcześniejszego wprowadzenia go w życie.

Podróże.

*** W Londynie głośny podróżnik kapitan Serpa Pinto podejmowany był przez towarzystwo jeograficzne; przed bardzo licznem zgromadzeniem miał on pogadankę o swej podróży do środkowej Afryki.

*** Paryzkie Towarzystwo geologiczne przyjmowało na uroczystem posiedzeniu w wielkim amfiteatrze Sorbony, majora portugalskiego Serpa Pinto, który przebył Afrykę australską z zachodu na wschód z Benguella do Port-Natal.

*** Do Kronsztadtu przybył parowiec „Wsadnik“, pod komendą kapitana Nowosilskawo, który od 28. października 1873 przebywał na oceanie Spokojnym; zrobił on w tym czasie 77,730 mil, z których z pomocą pary 28,861 mil, a pod żaglami 48,869 mil.

*** Z Chamounix donoszą, iż Charlet Graton, w towarzystwie dwóch przewodników, dostał się w dniu 11. lipca na szczyt góry Mont-Blanc; wywiesił on tam trójkolorowy sztandar.

Handel i przemysł.

*** Z Działdowic w Poznańskiem donoszą, iż przychodzą tam wielkie ładunki płatów z Królestwa i cesarstwa jako materjał papierniczy. Spekulacja spieszy się przed zaprowadzeniem cła. Dowóz zboża z Królestwa zmniejsza się.

*** We Lwowie, w dniach 14., 15. i 16. września odbywać się będzie międzynarodowy targ zbożowy i reproduktorów bydła.

*** W Paryżu 24. lipca nastąpiło otwarcie międzynarodowej wystawy umiejętności mających w przemyśle zastosowanie.

*** W dniu 15. października r. b. przypada 50letni jubileusz istnienia kolei żelaznych; w dniu tym, przed pięćdziesięciu laty, ruszył z Londynu pierwszy pociąg, ciągniony lekomotywą Stephensona.

Zjawiska przyrody.

*** W Monachjum w zeszłym tygodniu tak dotkliwe było zimno, iż w wielu mieszkaniach palono w piecach. W Landshut znajdowano zmarznięte jaskółki. Z okolic górskich doniesiono o spadłych śniegach.

*** W Szwajcarji w Engadin dało się uczuć silnie wstrząśnienie ziemi.

*** W Bernie 2. lipca w wieczór, między ósmą a dziewiątą godziną, powstała w okolicy gwałtowna burza z gradem i deszczem. Rozciągała się ona od granicy do Thörnshaus. Niezmierna trąba wody spadła i spustoszyła grunta uprawne, niszcząc zasiewy. Droga żelazna na przestrzeni 800 metrów została uszkodzoną. Pociągi musiano wstrzymać. Podróżni przedostawali się na furmankach.

*** Bern — w Szwajcarji. W bliskości Romont, w kantone tryburskim, zdarzyło się w tych dniach wielkie nieszczęście. Wskutek długotrwałych deszczów nastąpiło obsunięcie się ziemi, które spowodowało zupełne zawalenie dwóch domów, a kilku innych uszkodzenie. W zniszczonych domach legło pod gruzami 7 osób.

*** W Londynie w tych dniach piorun uderzył w kościół wiejski pod Shrewsbury podczas odbywającego się nabożeństwa. Piorun zranił ciężko pięć osób, znajdujących się na chórze. W tymże dniu piorun uderzył w krzyż na katolickiem przytulisku w Liwerpoolu, lecz nie poczynił żadnych szkód.

PRZEGLĄD WOJSK W LONGCHAMPS.

Tegoroczna rewja załogi paryskiej i wersalskiej była pierwszą dopiero pod nowym rządem republikańskim; wyglądano jej tem ciekawiej, że przy tej sposobności Grevy i Gambetta wystąpić mieli na widowni publicznej.

Przedewszystkiem zastanawiano się nad tem, jakie przyjęcie będzie tych dwóch najwyższych reprezentantów ze strony publiczności.

Na nieszczęście dzień 12 lipca był dżdżysty, deszcz padał do południa bez ustanku — mimo to napływ ciekawych w lasku bulońskim i w stronę Longchamps był dość znaczny, chociaż nie taki jak dawniej; dopiero o 12 i pół rozpogodziło się niebo i już z małem intermezzem około 3 — cały dzień pozostało dość jasne.

Paryżanie na omnibusach, pieszo, na statkach parowych, jak kto mógł i umiał, spieszyli na miejsce parady.

Wielu przybyło, co prawda, dopiero pod sam koniec rewji.

Skoro się tylko rozpogodziło, ośm powozów zamkniętych pod eskortą kilkudziesięciu dragonów wjechało na pola Elizejskie — to Gambetta i znaczniejsi naczelnicy rozmaitych rządowych dekasteryj spieszyli do Longchamps.

Najsampierw tęgim kłusem pędziło dwóch dragonów, trzymając w ręku karabiny, jakby do strzału gotowe; za nimi oddział przynajmniej z 40 ludzi złożony, z oficerem na czele.

W pierwszym powozie jechali woźni parlamentu, w drugim Gambetta z wiceprezesem izby.

Po obu stronach tego powozu kłusowało dwóch oficerów.

Dalej w szeregu postępowały powozy dwóch innych wiceprezesów, kwestorów i innych dygnitarzy, pod honorową strażą dwóch dragonów.

Na końcu jeszcze cały szwadron zamykał tę kawalkatę.

W Longchamps wysiedli ci panowie przed trybuną przeznaczoną dla deputowanych i senatorów po prawej stronie trybuny prezydenta.

Miejsca było dość, gdyż tylko republikańscy senatorowie stawili się ze wszystkiemi odznakami swej godności; członkowie stronnictwa reakcyjnego uznali za stosowne nie przyjechać.

Miejsca ich na trybunie zajęły damy; pomiędzy niemi odznaczała się czarno ubrana kobieta z krzyżem legji honorowej i wojskowym medalem na piersiach.

Była to panna Dodu, która się podczas ostatniej wojny francusko-pruskiej jako telegrafistka bohatersko odznaczyła i za to dekorowaną została.

Urządzono jej na miejscu małą owacyjkę, która ją zaambarasowała tak, że zdjęła z piersi swoje znaki, by ich nie widziano.

Gambetta, podobnie jak i inni senatorowie, w czarnym fraku i białym krawacie — zajął miejsce w loży parlamentarnej i tam oczekiwał przybycia prezydenta republiki

O wpół do drugiej zjawił się prezes senatu Martel, w otoczeniu innych senatorów; towarzyszyła im taka sama jak p. Gambecie eskorta, tylko, że ci przyjechali w otwartych powozach.

Następnie przybyli ministrowie ze swymi żonami.

Przed drugą, dwa piękne powozy zatrzymały się pod trybuną prezydenta; w nich siedziała pani Grévy z córką, uroczą panną, podziwianą przez wszystkich.

Matka miała toaletę żółtą, córka popielatą z czarnem.

Inne damy po większej części wystąpiły w szarych kostjumach z powodu niepewnej pogody: wszystkie wszelako miały na głowie kapelusze słomkowe.

O godzinie 11-tej zaczęły przybywać i szykować się oddziały wojska; trwało to do 2-giej po południu.

Ostatnia, jak zwykle. przybyła piechota szkoły St. Cyr, która wybornie maszerowała i ogólne zyskała pochwały.

Powitano ją wesołemi okrzykami.

Równina Longchamps przedstawiała teraz wspaniały widok; brakowało tylko tych niezliczonych tłumów, które dawniej ją zapełniały.

Niepogoda odstraszyła większość od tej wycieczki. Wojska uszykowały się w trzech kolumnach.

Około 2-giej dwadzieścia jeden strzałów armatnich zapowiedziało przybycie prezydenta republiki.

Gdy Grévy zjawił się na trybunie, na której już oprócz jego żony i córki znajdowali się ministrowie z rodziną, poseł niemiecki, hr. Wesdehles, nuncjusz papieski, z którym prezydent następnie wiele rozmawiał, poseł hiszpański i członkowie ciała dyplomatycznego obok wyższych urzędników republiki — publiczność powitała go głośnemi okrzykami.

Entuzjazm wzmógł się jeszcze więcej, kiedy i Gambetta zjawił się w loży prezydenta.

Ex-dyktatora przyjmowano wszędzie z zapałem:

Po przebrzmieniu strzałów armatnich gubernator Paryża, jenerał Aymard, który miał dnia tego dowództwo naczelne nad całą załogą zgromadzoną na równinie Longchamps, przebiegł wzdłuż frontu w galopie.

W jego sztabie znajdowali się członkowie niemieckiej, rosyjskiej, tureckiej, angielskiej i japońskiej ambasady; ci po raz pierwszy brali udział w rewji na polu Longchamps, a do tego w charakterze wojskowym.

Grévy, ozdobiony wielką wstęgą legji honorowej, powitał publiczność i zajął miejsce na trybunie.

Loża prezydenta, podobnie jak inne — udekorowaną była trójkolorowemi chorągwiami i tarczami z napisem: *Honneur et Patrie*; miejsca w niej na pięć osób.

Po prawej stronie Grévy'ego usiadł minister wojny i pani Grévy, po lewej minister marynarki i jakaś dama.

Później zmieniono miejsca; pani Grévy usiadła przy mężu, Gambetta i Martel umieścili się za prezydetem.

O kwadrans na trzecią rozpoczęła się defilada.

Jenerał Aymard ze swoim sztabem jechał na czele wojsk, salutował po wojskowemu i ustawił się potem naprzeciw trybuny prezydenta.

Inni oficerowie i adjutanci gubernatora oddawali Grevye'mu honory wojskowe.

Defilada odbyła się w tym porządku, w jakim kolumny uszykowane zostały.

Najpierw maszerowały wychowańcy szkoły wojskowej St. Cyr.

Postawa ich i równy krok zachwycały widzów; rzęsiste oklaski posypały się ze wszech stron.

Te same objawy uznania i zadowolenia dostały się innym oddziałom, a pomiędzy temi artylerji.

Konnica przebiegła tęgim kłusem.

W ogóle cała armja sprawiła bardzo dobre wrażenie i zadowolniła wszystkich, bo okazała znaczny postęp w rozwoju i wyćwiczeniu wojska.

Piechota maszerowała lepiej, konnica trzymała się dzielniej, artylerja przedstawiała się także korzystniej niż w latach poprzednich.

O godzinie 3 minut 27 — skończyła się defilada.

Gubernator Paryża zbliżył się do trybuny Grevy'ego, salutował i odjechał.

Wówczas Grevy ze swoim *maison militaire* siadł do powozu i wybrał się z powrotem do Paryża, żegnany entuzjastycznemi okrzykami.

Za nim odjechała jego żona z córką — Gambetta wyprzedził go o kilka minut.

I jeszcze wyprawiano po drodze ciągłe owacje, pola Elizejskie zaczęły się zapełniać tłumami, bo pogoda piękna wywabiła Paryżan z domów.

Zauważyć jeszcze należy, iż wszystk e muzyki wojskowe podczas inspekcji gubernatora p zygrywały „Marsyljankę“.

Treść Nr. 27.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.